non ausus est dicere , plus sufficeret ei testimonium perhi- ... rdi suo , non debuit esse iudex alieni. Qui circa cordis in- ... versantur oculi , hanc ebi- modestiam , quòd nesciant ... erius videre in aliis. Parum ... lustrat , multum credit ex- is, qui sibi in aliquo inferiores ... cæteros fratres.

... At ille respondens vni ... orum , dixit : Amice , ... on facio tibi iniuriam , ... ex denario conue- ... mecum? Tolle, quod ... um est, & vade.

§. XX.

... tura vita id solum inue- niemus , quod nostrum fue- it , bonorum operum pretio ... omparatum.

Vm præsentis vitæ labor fi- nitur , nemo speret aliud in- ... re , quàm id , quod suum ... t , quod bonorum fuerit pre- ... omparatum ; hæc est enim pro ... ibus hominibus tunc senten- ... nimirum , *Tolle , quod tuum* ... on ibi recipies , nisi quod ... sit , non ibis nisi in tua. Ma- ... Abraham dum defunctæ ... parat sepulchrum , spelun- ... duplicem emere curat : ait ... Genes. 23. *Det mihi spelun-*

... ræ terram accipiat, antequam illam numerata emat pecunia Et cur, qui viuenti nullam emit terram , tam anxiè curat illam emere defunctæ? Agebatur sanè magnus pater illo Dei spiritu, quo docemur viuentes posse consistere aliquandiu de alio- rum solis beneficiis ; at morientes non posse ire nisi in sua. Ait D. Basil. homil. in Psalm. 14. *Incola fuit Abraham, qui nec terræ quidem vestigium propriè possedit , sed vbi opus ei sepulchro fuit , id argento mercatus est. Ex quo sanè Scriptura demonstrat, quemadmodum in carne viuentem incolam esse oporteat , mi- grantémque ex hac vita in locis pro- priis requiescere.* Expende , quæ loca expectent migrantem ex hac vita , nimirum *loca propria* , non ampliùs emendicare licet benefi- cia, non ampliùs valent preces, vbi ex hac vita exieris, ad sola illa ibis, quæ tua fuerint , quæ propriis la- boribus empta tibi venerint. De Diu. Stephano iam iam in cœlum migraturo ait textus Actor. 7. *La- pidabant Stephanum inuocantem, & dicentem: Domine Iesu, suscipe spiri- tum meum. Positis autem genibus clamauit voce magna, dicens : Domi- ne, ne statuas illis hoc peccatum.* Dum persecutorum negotia agat , genua flectit , orationem supplex fundit: dū pro se loquebatur , stans loqui- tur , & ait : *Suscipe spiritum meum.* Dimissiùs ageret, si etiam pro se nō staret, sed genu flecteret, & diceret: Domine omniū, suscipe spiritū hūc tuum

Basil.

Act. 7.

NIENAWISC

LUDZI i ŻAL

KOMEDYA

w pięciu

AKTACH

przez *KOTZEBUE.*

z Niemieckiego przerobiona

Przez A. L.



w KRAKOWIE 1796.

w Drukarni JANA MAYA.

OSOBY

JENERAŁ WESOŁOWSKI.
JENERAŁOWA żona iego.
MAIOR PRAWDZICKI brat Jenerałowey.
SYNEK Jenerała maiący lat 5.
CIEMNOWIDZ ekonom w dobrach Jenerała.
JAKOB syn iego.
ELEONORA ukryta pod nazwiskiem Pani Betty nieznaiomy.
DZIECI tegoż, syn i corka około lat 5. maiące.
DOZORCA tychże.
DESPERAT.

Scena we Wsi, Jenerała.

AKT PIERWSZY.

Okolica wieyska, gdzie niegdzie widać chałupy.

SCENA PIERWSZA

CIEMNOWIDZ i JAKOB *Syn Jego.*

CIEMNOWIDZ.

Podź sam, moy Synu, musze z tobą o iedney ważney rzeczy pomowić, iuż masz lata potemu.

JAKOB.

Dobrze kochany Oycze, ale proszę cię, żebyś mnie, nie tak często wyśmiewał: To gadam za wiele, to ga-

dam za mało, a kiedy czasem sam z sobą gadam, nazywasz mnie wtedy gawronem; a ia z tym wszystkim, nayche̜tniey z sobą samym rozprawiam, bo ia siebie znam naylepiey, i sam siebie nigdy nie wyśmieię. — Pfe śmiać się z kogo!

C i e m n o w i d z.

Nie o tym teraz mowa — Lecz żeby do rzeczy przystąpić, wyznay mi, czyli dobrze poznałeś Jmć Panią Betty mieszkáiącą u nas w Pałacu Pańskim?

J ą k o b.

Ach Jeymość Panią Betty, a iakże nie? — O kiedy ta mnie czasem wyśmieie, to ia się nie gniewam, ona buzię tak prześlicznie ułoży, żeby kto rozumiał, iż cukierek liże.

C i e m n o w i d z.

Ale nie uważałeś, czyli na cię czasem miło niespoyrzała? Nie wyczytałeś w iey pięknych oczach iakiego sentymentu?

J A K O B.

Kto? Ja nic o tym nie wiem, tego nie rozumiem, co to iest sentyment?

C I E M N O W I D Z.

Moy synu, sentyment znaczy uczucie, ale to ostatnie słowo, iak mi Państwo moie powiadali (boć ia na wielkim niebył świecie,) iest słowo prawie zarzucone, sentyment zaś, ponieważ z iednego z modnych iezykow pochodzi, wszędzie iest przyięte. — Sentyment (myśli) iest to życie duszy i serca (myśli) iest to ogień, ktory krew pali i trawi. — Jest to czasem i cicha woda brzegi wyrywaiąca; stopnie sentymentalne są rozmaite. Ale dosyć na ciebie tego moy kubo, bo byś ty wszystkiego zarazem niepoiął.

J A K O B.

Prawda, że mało co rozumiałem.

C I E M N O W I D Z.

Nic to nieszkodzi, ale posłuchay te-

raz — Mnie się zdaie, iż Pani Betty, miluchno na ciebie spogląda, coś tam w iey sercu musi bydź ukrytego.

JAKOB.

Na mnie? Bydź może, albożem nie ładny, Tatulu?

CIEMNOWIDZ.

Więc tedy moy synu, staray się nadewszystko przypodobać Pani Betty, nadskakuy iey w każdey okoliczności, usługuy, gdy się zdarzy, i tam daley. Zebrałem, licząc ustawicznie grosze, pewną summkę dla ciebie, i mam w głowie proiekcik.

JAKOB.

Ach! co za szczęście, ale słuchay Oycze: nie, nie powiem (myśli) ey, albo powiem nareście.— Dnia wczorayszego wieczorem, Pani Betty, kiedy iuż o niey mowiemy, Pani więc Betty, nie dnia wczorayszego, a tak, tak, dnia wczorayszego, Pani Betty kiwneła na mnie.— Kiedy iey rączka kiwnie, ruszyć się z mieysca,

stanąć przed iey obliczem, to chwila dla mnie. Stanąłem tedy, aż o to ona daie mi worek z pie niędzmi.

CIEMNOWIDZ.

Jak, iak, dała ci worek pieniędzy, tobie?

JAKOB.

Ale moy Oycze nie przerywaycież mi, na czymże stanąłem?

CIEMNOWIDZ.

Dała ci worek.

JAKOB.

Aha! dała mi worek pieniędzy i rzekła: weź to, i zanieś staremu Tobiaszowi na wieś, iutro raniuteńko to iest dzisiay, biedny staruszek, nie ma może teraz chleba, niechże go sobie kupi. — Kiedy Pani Betty wdzięczną twarzyczkę okaże, przez rowy i błota biegnę iak zaiąc, a to nawet, za darmo.— Powiada potym, kochany Panie Jakobie bądź WPan tak grzeczny, i niemow nic otym nikomu,

kochany Panie Jakobie! bądź WPan tak grzeczny, he, he, he, gdy to wyrzekła, tak właśnie mi było, iak gdyby mnie coś po bokach łechtało.

C I E M N O W I D Z.

A wykonałżeś to iuż zlecenie, sprawnie i dobrze?

J A K O B.

Jakże nie Oycze, czy wątpisz? Byłem ustarca Tobiasza i oddałem pieniądze. — Niedość na tym, powracaiąc, spotykam tego nie daleko tu mieszkaiącego mruka. — Chciałem z nim pomowić; ledwo na mnie spoyrzał i poszedł precz; zachwile potym byłem znowu u Tobiasza. — Dziaduś płakał z radości, i ia ledwo nie zapłakałem. Dla czego spytałem? — Powiedział mi to, iż go ten Pan nieznaiomy, ten mruk, o ktorym dopiero wspomniałem, sowicie poratował i z nędzy wydobył. — Co wy na to? Oycze?

C i e m n o w i d z.

A dowiedziałżeś się, kto on iest, ten Jegomość?

J a k o b.

Ba? o tym Jegomości żadna żyiąca dusza podobno nic niewie.

C i e m n o w i d z.

O toż, ia będę naypierwszy ktory się o wszystkim dowiem.

J a k o b,

O! wątpię bardzo, gdzie młody Jakob, nic nie wskurał tam Tatulo...

C i e m n o w i d z.

Milcz to moie staranie. —Teraz pospieszay do Pani Betty z doniesieniem.

J a k o b.

Dobrze, dobrze, a ledwom też nie zapomniał; ale Oycze przypominam sobie, iż podobno nikomu o tym powiadać nie miałem, a ia ieźli się nie

mylę wszystko prawie wybaiałem przed wami; no nie wydaycież mnie Oycze. — Biegę i biegę.

CIEMNOWIDZ.

Nieszkodzi to nic, nieszkodzi, idź tylko idź, a na przestrogi moie pamiętay (*Jakob odchodzi*)

SCENA II.

CIEMNOWIDZ. SAM

CIEMNOWIDZ.

Dobry z niego będzie chłopczyna, prawda iż mazgay nieco, ale się z czasem wykrzesze. Teraz potrzeba będzie, zayrzeć do domu, przeliczyć Pańskie intratki, poyść do stodoł, spichlerzá, i tam daley.— Ale nie, zatrzymam się ieszcze, może niechcący, cokolwiek przynaymniey, o tym osobliwym Mościom Panie odkryię, ktory

od kilku Miesięcy tu przywędrował, i zamieszkał. — Wydać się niechce kto on iest, czym iest, z kąd iest, iaki cel iego, zkąd przyszedł, dla czego tu osiadł? — Szpieguię ile sił moich, a wybadać nie mogę kto ten dziwaczny Jegomość, ten Tetryk, ten cień człowieka; ale o to widzę, on się tu zbliża, skryymy się, może się nie iedno naį iaw wydobędzie. *(Kryie się za drzewo)*

SCENA III.

NIEZNAIOMY i DOZORCA DZIECI TEGOŻ.

DOZORCA.

Wybacz Panie, co w tym, to bynaymniey, zdania twego nie iestem.

NIEZNAIOMY.

Mnieyszâ o to, niechcę się kłocić.

DOZORCA.

Przyiacielu! tak Wacpana iuż nazwać muszę. — Wyniesiony nad przesąd, nad podłe uprzydzenie, gdyś mi twe dzieci, kleynot naydroższy oddał pod dozor, chciałeś abym cie przyiacielem nazywał; przyiacielu zatym, możeźli cię to urażać, że zimną krwią ponure myśli, ktore cię wszędzie ścigać zdaią sie rozpędzić usiłuię? — Nazywasz to kłotnią, sprzeczką.

NIEZNAIOMY.

O dosyć tego, wierzę w przyiaźń, i ufam przyiaźni.

DOZORCA.

Zacny Mężu, w ktorego serce natura z dobrocią chęć rzetelną służenia bliźnym wlała, iakaż cię mara prześladuie? czemuż nienawidzisz ludzi?

NIEZNAIOMY.

Z Pochwałami milczeć proszę, i nie szydzić ze mnie. — Wreście coż za pytanie?

DOZORCA.

Daruy na przymowkę tak groźną nie zasłużyłem.

NIEZNAIOMY.

Przepraszam przyiacielu, prętki iestem....

DOZORCA.

Prędki i nadto prędki w sądzeniu źle o ludziach, a z tym wszystkim dobroczynny...

NIEZNAIOMY.

Ja?

DOZORCA.

Wszak nieraz byłem świadkiem, kiedy się dobrotliwa twa ręka, na wspomożenie ubogiego otwierała, kiedy się na widok nedzy i ucisku serce twoie kraiało. — Wszak Dobrodzieystwa wdzięczność ciągną za sobą?

NIEZNAIOMY.

Nie prawda.

D o z o r c a.

Ale uszczęśliwiaią bardziey dawcę niźli odbieraiącego?

N i e z n a i o m y.

Co to, to prawda.

D o z o r c a.

Szczęśliwym zatym WPan z wielu miar iesteś.

N i e z n a i o m y.

Podchwytuiesz mnie.

D o z o r c a.

Podchwytuię? chceszże WPan, bym mu przykłady przytaczał — Dzień dzisieyszy na przykład wspomniy go sobie, kiedyś tak szczodrobliwie wyrwał biednego z nędzny starca, idąc za natchnieniem własnego serca i przykładem Pani Bytty.

N i e z n a i o m y.

Ktoż ona iest? ta Pani Betty, dla czegoż ią zawsze przed sobą znayduię,

gdzie tylko przydę, ona iuż tam była?

D o z o r c a.

Cieszyć się z tego należy.

N i e z n a i o m y.

Cieszyć.

D o z o r c a.

Że dusz dobroczynnych więcey znayduie się na świecie.

N i e z n a i o m y.

O tak.

D o z o r c a.

Poznać ią staraćbyś się powinien.

N i e z n a i o m y. (*z urąganiem*)

Dla czegoż nie zaślubić ią sobie?

D o z o r c a.

Czemuż nie, ieśli masz ochotę. — Widziałem ią kilka razy w ogrodzię. — Piękna kobieta...

NIEZNAIOMY.

Tym gorzey, piękność iest larwą.

DOZORCA.

W Jey osobie, zdaie się bydź zwierciadłem dawszy iey dobrodzieystwa.

NIEZNAIOMY.

Ach! nie mow nic o iey dobrodzieystwach, błyszczeć chcą wszystkie kobiety, w Mieście dowcipem, kobieta na Wsi sercem.

DOZORCA.

Nadto ogòlnie WPan sądzisz i mowisz.

NIEZNAIOMY.

Bynaymniey znam dobrze ludzi dalimi się we znaki.

DOZORCA.

Nie, przyiacielu, nienawiść twoia przeciwko rodzaiowi ludzkiemu, rodzi częstokroć, nie sprawiedliwie niedowierzania. — Piastuiesz w twym ser-

cu

cu węża, ktory cię gryzie, á ktorego wytępić, zwycięzkim umysłem powinienbyś.

N I E Z N A I O M Y. (*z zapałem*)

Znam dobrze ten rodzay iaszczurcy, iad tych zmiy nikczemnych, wzburzył krew moią. — Nie sposob myślenia mego, nie, iest nie sprawiedliwy, proszę cię nic więcey o tym, zostaw mnie samego, a powroć do moich dzieci.

D O Z O R C A.

Do twoich dzieci Panie.

N I E Z N A I O M Y.

Tak iest. — Tam tylko ieszcze serce mnie ciągnie, ziemia procz nich, iuż więcey dla mnie nie ma powabow.

D O Z O R C A.

Jdę pełniąc twoią wolą, przygotować się do odiazdu. — Ale dla Boga roztrząśmy przyiacielskie rady. — Chęć opuszczenia świata, w głowie twoiey

nie w sercu zagnieździła się — Wszak zobaczemy się ieszcze?

NIEZNAIOMY.

Zobaczemy. (*Dozorca odchodzi*)

SCENA IV.

NIEZNAIOMY *sam* (*w myślach zanurzony.*)

Wszędzie w każdym kroku cień utraconego szczęścia ściga mnie. — Niestety! na burzliwym morzu świata tego, wycierpiałem nieznośnie. — Nadzieie naymilsze, nadzieie życia moiego pogrążone widziałem. (*pauza*) nic mi nie zostało, tylko straty pamiątka, pamiątka kalecząca srodze, czułe to serce. Nie, niech mowią co chcą mędrcy świata tego, nie zawsze człowiek, iest przyczyną swoiey niedoli. — Nie, tyś moim świadkiem o Boże! złość ludzi, chytrość, przewrotność ludzi,

przyczyną są mego nieszczęścia. — Nie ia. — Ach! gdyby czas rezygnacya, i przyzwyczaienie, mogły przytępić te ciosy, ktore mnie rażą, i dotkliwey zmnieyszyć czułości. — Ale to prożna nadzieia, i smutne tylko obrazy, ktore mi myśl zwodniczą, w dalekiey kreśli perspektywie.(*pauza wielka, przechodzi się.*)

SCENA V.

NIEZNAIOMY DESPERAT.

DESPERAT. (*z pistoletem w ręku bieży z rozpaczą na Nieznaiomego*)

Pieniądze albo życie.

NIEZNAIOMY. (*mierzy go wzrokiem, i bynaymniey niewzruszony.*)

Pomieszanie i rozpacz, podobno zmysły ci odbiera; nie tam tu, tu, mierz, tu iest serce niebaczny (*pokazuie mu lewą stronę*) czemuż się oponiasz?

D E S P E R A T. (*opuszcza pistolet*)

Co widzę ? Co słyszę ? Nie ustraszony ! ach ! znam i ia mieysce, gdzie iest fortka śmiertelna i w ktorą ugodzić należy. (*podnosi pistolet z rozpaczą i ku sercu swemu obraca*)

N I E Z N A I O M Y. (*wydziera mu go*)

Stoy.

D E S P E R A T. (*zawstydzony*)

Wspaniało myślny, bronisz mi, bym strapionego życia dni skończył. — Odday mi, zaklinam cię, odday mi ten klucz do wieczności, niech śmiercią moią zamysł zbrodniczy zagładzę. — Zaklinam cię odday mi go.

N I E Z N A I O M Y.

Pomyślałeś też nad tym, co czynić pragniesz ?

D E S P E R A T.

O Zimny człowieku, nie rozdzieray bardziey mey rany, tu nie myśleć, tu

działać należy, czyż to człowiek łańcuchami do życia ma bydź przykuty. — Piłem z kielicha goryczy, teraz gwałtem wydrzeć się muszę z domu, ktory i tak iuż iest bliski zawalenia się.

NIEZNAIOMY.

Patrz w niebo, i na ziemię.

DESPERAT.

Dręczysz czułość moią, twoią krwią zimną; (*myśli*) wszak nie pewna, by się tam kto, nad gwiazdami znaydował. — Ale tak, głoś boiaźliwy, wznosi się w mey duszy. — Jest.. iest tam wysoko sędzia nad nami (*pauza*) nie, nie, niemasz tam nikogo, niemasz (*z przyciskiem*) bo ia tak chcę; niemasz tam nikogo. — Ale z tym wszystkim gdyby był, ach! biada mi tyś przyczyną wachania, i zwłoki moiey. — Umrzeć, ach! czemuż to słowo, co moment reflexyi, tak zimno teraz po mych kościach przechodzi? Umrzeć? Oddać rachunek naywyższemu z sedziow (*z wielkim poniżeniem*) a ieżeli sprawiedliwy? — ieżeli sprawiedliwy, osobli-

wszy mężu, na ktorego twarzy ślady nie pospolitego wzruszenia wyryte widzę, poratuy mnie. — Poratuy mnie.

NIEZNAIOMY.

Daruy moiey niespokoyney ciekawości. — Przywięzuiesz cię co do ziemi?

DESPERAT.

O Nieba! gdyby nie to przywiązanie, iuż na ten czas żadna moc ludzka wstrzymać by mnie od skruszenia więzow życia nie zdołała; mam małżonkę, mam dzieci, tych głos, ktory zdaie się że słyszę, naymocniey mnie wstrzymuie.

NIEZNAIOMY.

Nieroztropny! ieżeli więc w głębi serca twego cokolwiek ieszcze cnoty znayduie się, nie pogardzay twym życiem. — Masz małżonkę i dzieci, a ty zerwać naymilsze węzły, podeptać naycelnieysze obowiązki zuchwale przedsięwziąłeś. Czyliż nie wiesz zapamiętały, iż kroku posunąć nie możesz w ktorymbyś, do dopełnienia, ia-

kiegoś obowiązku nieznalazł. Człowiek każdy, użyteczny iest ludzkości, przez to samo, że żyie. — Wyrwałeś mi z ust te słowa, wyrywasz czułości moiey ten dowod, iż ieszcze nie wszystkie uczucia w sercu moim wygasły (*daie mu worek z pieniądzmi.*)

DESPERAT.

Wspaniała duszo! chcesz więc koniecznie, krwawe rany moie zagoić, i radą i wsparciem. — Prześladowany tak długo od okrutnych losow, znayduię przecież pierwszego dobrodzieia. — Od młodości moiey wystawiony na sztych nieprzyiazney fortuny, nie zakosztowałem pokoiu w mey duszy; szły pasmem iedne po drugich nieszczęścia, ktorych wspomnieniem, rozrzewniać cię nie chcę. — Teraz niedawno ogień straszliwy obrociwszy w perzynę ostatnią własność moią, naysłodszych mnie pozbawił nadziei. — Zostawałem z żoną i dziećmi, bez dachu i chleba, kiedy mi rozpacz, nayczarnieysze, maluiąc widoki piekielne podszepnęła sposoby, do wybrnienia z przepaści. — Jść

w brew świętym natury ustawom przedsięwziąłem. — I w tym stopniu zapamiętania znaydowałem się, kiedy mnie tu szalone zaniosły kroki. — Daruy cnotliwy mężu, daruy obłąkaniu moiemu.

NIEZNAIOMY.

Chętnie bardzo, a teraz powroć do siebie, iuż dosyć nasłuchałem się, poratuy familią.

DESPERAT.

Dozwol przynaymniey, ostatnie złożyć ci dziękczynienia.

NIEZNAIOMY.

Nie potrzeba.

DESPERAT.

Ale czemuż tak ozięble, przyymuiesz.

NIEZNAIOMY.

Już dosyć tego. Te słowa prożne, grzeczność światowa dyktuie. — Spiesz

WPan mowię do domu, chcesz bydź wdzięcznym, dobrze, niechcesz nim bydź, mnieysza o to.

D E S P E R A T.

Co za okrutne powątpiewanie?

N I E Z N A I O M Y.

Bynaymniey. — Cieszę się żem WPanu usłużył.

D E S P E R A T.

Stokrotne dzięki ci za to. Lecz żebym we wszystkim woli twoiey dopełnił, z naytkliwszym duszy poniżeniem, z spokoynością umysłu, ktorą tobie wybawicielu moy winienem powrocę do siebie (*chce mu rękę całować*) pozwol.

N I E Z N A I O M Y. (*wydziera rękę*)

Co czynisz, nie wiem i wiedzieć niechcę, kto iesteś, ale to iest podłością, bez tych zewnętrznych oświadczeń obeydzie się.

D E S P E R A T.

Ale wszystko mi przywrociłeś, iakże ci odwdzięczę?

NIEZNAIOMY.

Idź, iuż to słyszałem, iuż odpowiedziałem i dosyć; niepowrociłem ci życia, iak mowisz, nie prawda, nie powrociłem ci go.

DESPERAT.

A to iak?

NIEZNAIOMY.

Mowię że nie. Własne twoie serce i boiaźń przyszłości zatrzymały rękę twoią, nie ia. — Pamiętay iż na słońce i na śmierć, nigdy wprost patrzeć nie można.

DESPERAT.

Docierasz poięciu moiemu, ale serce, serce inaczey czuie.

NIEZNAIOMY.

Bydź to może, ale spiesz się do domu.

DESPERAT.

Idę iuż idę. — Niech cię nieba bło-

gosławią mężu rzadki, i naśladowania godny (*odchodzi krokiem powolnym*)

NIEZNAIOMY. (*patrzy na niego*) *zostaie chwilę zamyślony na scenie i nic nie mowiąc odchodzi.*)

SCENA VI.

CIEMNOWIDZ (*wybiega z po za schronienia*)

Otoż, tyle wiem teraz, co i przody, co za dziwaczny dobroczyńca. — Ale mowiąc prawdę, i ia w podobnych przypadkach wielkim panom maiątku zazdroszczę. Coś i u niego (*pokazuie na piersi*) tu siedzieć musi. Dla Boga tyle czasu nadaremnie strawiłem; a iuż więcey godziny iak Pani Betty, do siebie wołać mnie kazała, chce mi powiedzieć coś nowego; biegnę, lecę, coś nowego, zapewne z gazet Francuzkich (*odchodzi prędko*)

SCENA VII.

Teatr się odmienia pokoy Eleonory.

ELEONORA (*z książką w ręku wchodzi*)

Luba samotności, nad ktorą dla mnie nic droższego na ziemi, przerwaną mi dziś zostaniesz. — Spokoyność wprawdzie, nie zawsze w piersiach samotnego mieszka, gdyż niestety! sumnienie między mury klasztorne, sumnienie i do odludnych pustyń wziąść z sobą trzeba. — Z tym wszystkim wolno mi było do tych czas gdy frasunek gryz serce, łez kilka wylać, a nikt czerwoności oczow moich nie widział, i nikt nie zapytał, dla czego płakałaś. —Teraz przyiadą mi na kark, będę przymuszona towarzyszyć im, rozmawiać i śmiać się, mimo woli.— Ach! wolałabym żeby się w mieście zostali byli, na balach i klubach, na afsamblach i przechadzkach, niechby się

tam sobie, przypatrywali złorzeczyli, gorszyli, i oszukiwali. — J to dzisiay ieszcze (*patrzy na list*) to mnie mocno dotyka, wyrozumieć z listu niemogę czyli wyiazd ich na wieś, momentalnym tylko uburdaniem, czy też układem iest długiego tu przemieszkiwania; ach! tego naybardziey obawiać mi się należy, bo wtedy iuż po moiey samotności ktora swą czarodzieyską ponetą pokoy sercu memu przywracała. — Jeszcze i to wszystko bym zniosła. — Ale kiedy mi zacna Pani domu tego, dowody przywiązania, a nawet szacunku dawać zacznie, a ia co chwila poczuię, iż ich warta nie iestem o iak mnie srodze na ten czas sumnienie dręczyć będzie. — Albo drzę cała przed tym wyobrażeniem: ieżeli dom ten zgiełkiem towarzystw zostanie, traf niespodziany, może ktorego z dawnych moich znaiomych tu przyprowadzić. — Niestety! w iak biednym iesteśmy stanie, kiedy tylko choć dwoie oczow znayduie się na świecie, przed ktorych spoyrzeniem wstydzić się i uciekać potrzeba. . . .

SCENA VIII.

ELEONORA i JAKOB.

JAKOB.

Otoż i stoię.

ELEONORA.

Już z powrotem?

JAKOB.

Albom nie sprawny, nie szypki. — Rozkaz wykonałem i ieszcze procz tego, kwadransik cały przegadałem.

ELEONORA.

Gadać to uchodzi, byle nie wygadać się.

JAKOB.

Ach zachoway mnie Boże! nie. — Powiedziałem tylko staremu Tobiaszowi, iż w życiu swoim nie dowie się, że te pieniądze ktore mu przyniosłem od WPani Dobrodzieyki pochodzą.

ELEONORA.

A to wybornie.

JAKOB.

J Oyca mego, ktory ciekawie chciał mi zayrzeć w serduszko z niczym odprawiłem, tyle mu tylko odkryłem, że się reszty domyśleć może.

ELEONORA.

J to nie źle. — Starego Tobiásza, zdrowego zastałeś WPan..

JAKOB.

A tak. — Dzisiay pierwszy raz chce świerzego powietrza skosztować.

ELEONORA.

Chwała Bogu, cieszę się z tąd..,

JAKOB.

Mowił mi, że wszystko, Pani i owemu nieznaiomemu winien. — Chce śię tutay przyczołgać, i kolanka uściskać.

ELEONORA.

Kochany Panie Jakobie, czy chciał-

byś mi WPan przysługę iedną uczynić.

J A K O B.

O ie, ie, sto za iedną, — Bylebyś mi także Pani pozwoliła, ach, pozwoliła, długo, iak naydłużey patrzeć na siebie.

E L E O N O R A.

Bardzo chętnie, miey tylko WPan baczność, gdy ow starzec nadeydzie, aby nie wpuszczać go do mnie. — Powiedz mu iż czasu nie mam, chora iestem, spię, albo iak się tam zdawać będzie WPanu.

J A K O B.

Dobrze, dobrze, a ieżeli niezechce poyść precz, to ia go w kark, i wypchnę z pokoiow.

E L E O N O R A.

A uchoway Boże, żadnęy mu przykrości czynić nietrzeba. — Pamiętay WPan, starca takiego, nie należy bynaymniey obrażać.

JA-

JAKOB.

No, no, wszystko co Pani rozkáże. — Ale ot! i moy Ociec.

SCENA IX.

CIEMNOWIDZ i CIŻ SAMI.

CIEMNOWIDZ.

Dzień dobry, dobry dzień, moia piękna prześliczna Pani Betty, z serca się cieszę, widząc WPanią w dobrym zdrowiu; WPani Dobrodzieyka, kazałaś mnie wołać. Zapewne co nowego z Warszawy? — Oy tak, dziwne się teraz rzeczy dzieią na horyzoncie politycznym. — I ia mam listy.

ELEONORA. (*z uśmiechem*)

Bez wątpienia, kochany Pan Ekonom, wszak z całym światem utrzymuie korrespondencyą.

CIEMNOWIDZ. (*z powagą*)

Przynaymniey we wszystkich stołecznych miastach Europy. — mam moich pewnych korrespondentow. . .

ELEONORA.

A iednak, założyłabym się, iż WPan niewiesz, co się tu dzisiay ma zdarzyć.

CIEMNOWIDZ.

Tu? w domu? — Nie wielkie osobliwości. — Parę korcy ieczmienia wysiać chcemy, ale czas nadto iest suchy. — Miałem wczoray listy, z Siedmiogrodzkiego Krolewstwa, i tam zbywa na buynym deszczu. — Powszechne narzekanie w Europie na nieurodzay. — Ale co Pani, mogłaby sobie sprawić zabawkę strzyrzemy dziś owce.

JAKOB.

I iayca wielkiey iędyczki, maią się dzisiay wykłuć. — I dźiki kary ogier. .

CIEMNOWIDZ.

Milcz mazgaiu.

J a k o b.

O toż iest; gęby nawet otworzyć nie mogę (*kładzie na głowę kapelusz i odchodzi mrucząc.*)

E l e o n o r a.

Jegomość Pan Jenerał, dzisiay tu przyiedzie.

C i e m n o w i d z.

Co? iak?

E l e o n o r a.

Z Jeymością i szwargrem swoim Panem Maiorem Prawdzickiem.

C i e m n o w i d z.

Bez żartu.

E l e o n o r a.

Wiadomo WPanu, kochany Panie Ciemnowidz iż nie iestem bardzo żartobliwa.

C i e m n o w i d z. (*woła*)

Jakobie. — O ty miły Boży! Jaśnie

Wielmożny Jmć Pan Jenerał własną wysoką osobą w progi u nas zawita. — Jakobie, i nayłaskawsza Jeymość nasza Pani Jenerałowa. — Jakobie, i Wielmożny Jmć Pan i Dobrodziey Jmć Pan Maior Prawdzicki, a tu nic w należytym porządku nie iest. — Kubo! — Kubo!

JAKOB.

Coż tam iest znowu. — zawsze co nowego.

CIEMNOWIDZ.

Pozwoływay prędko wszystkich ludzi. — Pośley do leśniczego, niech sarnę do pańskiey kuchni przystawi, ale prędko, Elzbieta, niech pokoie wykadzi, i kurz ze zwierciadeł pozmiata, aby Jaśnie Wielmożna Jeymośc przeyrzeć się w nich mogła. — Kucharz niech w prędkości parę kapłonow zarznie. a maciey niech zaráz szczupaka ze stawu przyniesie, ledwo dyszę. — A Bartłomiey - - no, no, iuż dosyć tego, idź, idź, a spraw się dobrze. (*Jakob odchodzi*)

ELEONORA.

Każ WPan nadewszystko pościel przewietrzyć, i kanapy wytrzepać. Wiesz WPan dobrze, iż Jegomość wygodę lubi.

CIEMNOWIDŻ.

To prawda, moia prześliczna Pani Betty, i natychmiast się to stać musi. — Ale, o boday w zielonym pokoiu kartofle rozrucić kazałem, ktore tak prędko przeniesione bydź nie mogą.

ELEONORA.

Nie iest to koniecznością.

CIEMNOWIDZ.

Ale, gdzież Jmć Pan Maior mieszkać będzie?

ELEONORA.

Day mu WPan mały czerwony pokoik przy wschodach, iest on powabny i śliczny z niego widok.

CIEMNOWIDZ.

Bardzo dobrze, kochana serdeczna

Pani, lecz tam zawsze sekretarz gabinetowy Jegomości mieszkał. — Wprawdzie nie koniecznie go też JW. Pan potrzebuie, ledwo na rok parę listow pisać mu przychodzi. Możnaby go. — O stoy! — wyborny koncept mi przypada. — Znasz WPani, ow mały domek, tuż przy zwierzeńcu, tam sekretarza zapakuiemy.

E l e o n o r a.

Zapominasz WPan, że tam iuż mieszka ten Nieznaiomy.

C i e m n o w i d z.

Ey, co nas ten Nieznaiomy obchodzi, ktoż mu kazał tam wprowadzić się, wyforuię go natychmiast.

E l e o n o r a.

Toby było niesprawiedliwością WPan mu sam ofiarowałeś, to mieszkanie, i rozumiem, iż dobrze i regularnie opłaca się.

C i e m n o w i d z.

Płaci to prawda, i podobny akcyden-

sik dla ubogiego ekonoma, zapewne niewart iest wzgardy. — Ale.

ELEONORA.

Coż? ale.

CIEMNOWIDZ.

Ale, wiedzieć niemożna, kto on iest? Żaden czart rozumnym zniego bydź nie może, kłopot mi, tylko pieniądze iego przynoszą, każdy grosz mnie trapi.

ELEONORA.

Trapi WPana, a to iak?

CIEMNOWIDZ.

Czylisz nie łamie sobie naprożno głowy od kilku miesięcy, żeby tę taiemnicę wyśledzić? — Dostałem był niedawno list z Peterzburga, w którem mi donoszą, że się w tych stronach spieg iakiś snuie - - - a według opisu...

ELEONORA.

Żartuiesz WPan. — Nie kochany Panie Ciemnowidz, day WPan temu

Nieznaiomemu człowiekowi pokoy. — Nie widziałam go w prawdzie, i nie iestem bardzo ciekawa poznania iego; ale wszystko co o nim słyszę, wystawia mi go iako człowieka, ktorego wszędzie znieść można. Żyie samotnie, i spokoynie. . .

CIEMNOWIDZ.

Temu nie przeczę.

ELEONORA.

Nie iedno dobrodzieystwo pokryiomu świadczy.

CIEMNOWIDZ.

Temu nie przeczę.

ELEONORA.

Nikomu ciężarem nie iest.

CIEMNOWIDZ.

Co temu, to przeczę.

ELEONORA.

J dziecka nie urazi.

CIEMNOWIDZ.

Co temu, to przeczę.

ELEONORA.

Coż WPan chcesz zatym więcey?

CIEMNOWIDZ.

Chcę wiedzieć kto on iest. — Żeby to przynaymniey chciał pogadać, aby go iako znienacka i figlami w pole wyłowić. — Ale kiedy się z nim nawet, gdzie spodkam, iak naprzykład dzisiay pod zwierzyńcem czymże mnie odprawia. — Dobrym dniem i szczęśliwą drogą. — I na tym basta. — Pokilkakrotnie zaczynałem. — Dziś iest piekna pogoda. — Prawda. — Już drzewa puszczać zaczynaią. — Prawda. — Pan iak widzę dla zdrowia przechadzką zabawia się. — Prawda. — Jdź do czarta myślę sobie, dziku, i nieżyy miedzy ludzmi. — Dziś nawet co wiecey, skryłem się między drzewa, kiedy do siebie powracał, z iakimsiś tam swoim kamratem; gadali, gadali, i nagadaniu skończyło się. — Roześli się potym. —

Moy śliczny Prałat został sam ieden, i coś sobie bzdurzył pod nosem. — W tym przyskoczył do niego, iakiś Desperat z pistoletem w ręku; a żem struchlał. — Pięniądze, lub życie zawołał. — Nieznaiomy Jegomość spoyrzał tylko na niego, a pistolet z ręki, wyleciał Desperatowi, słowem, po długiey pełney gestow i wykrzykow ścenie, natym się skończyło, że szaleniec worek złota otrzymał, i z Panem Bogiem poszedł. — A iuż też tego wszystkiego aż nadto.

ELEONORA.

W zapał WPan wpadłeś, kochany Panie Podstarości, zapomniy WPan raczey o tym uczciwym Nieznaiomym, a niezapominay o przybyciu Jegomościnym.

CIEMNOWIDZ.

Ach prawda, o nieba! no patrz WPani, prześliczna Pani moia, patrz WPani tylko co za nieszczęście wyniknąć może, kiedy się ludzi nie zna. — A tu.

ELEONORA. (*patrzy na zegarek.*)

Już dziesiąta. — W krotce Państwo nadiadą. — Poyde tym czasem moie załatwic starunki, a WPan idź zrobić swoie. (*odchodzi.*)

SCENA X.

CIEMNOWIDZ *sam (patrzy ciekawie na odchodzącą.*)

Tak, tak ia poyde załatwić moie starunki, a WPan idź zrobić swoie. — To mi też także, iedna z takich Jmościow, wszak rowniesz, wiedzieć nie można, kto ona iest? Pani Betty! Pani Betty. — Wiele Pań tego nazwiska zagranicą może znayduie się, ale tu w polszcze, polka, pod tym nazwiskiem, o ho! to kłamstwo, to istne iest kłamstwo, siedzi tu także, coś ukrytego. — Wiem ci ia dobrze, że ią J. Wielmożna Jeymość przed trzema laty do domu w kręciła, ale zkąd? dla cze-

go? z iakiey przyczyny? tu się urywa moia wiadomość. — Wewnętrznym domu gospodarstwem ma zawiadywać, powiedziała, łaskawa Jeymość moia. — Ale o słodki Boże! czyliżem przez lat dwadzieścia zewnętrzne i wewnętrzne gospodarstwo z chwałą nie prowadził. — Prawda iest. — Starzeię się iuż, i przypisać iey muszę, że wiele sobie zadaie pracy. — Ale czyliż się wszystkiego o demnie nie nauczyła? gdy tu zawitała. — Dla Boga, niewiedziała nawet, iż się z lnu płotno, a z konopia postrunki robią, ha, ha, ha. (*odchodzi śmieiąc się.*)

AKT II.

SCENA PIERWSZA

MAIOR PRAWDZICKI. (*w prowadzaią go Ciemnowidz i Jakob, ktory zawsze Oyca swego, stara się naśladować.*)

CIEMNOWIDZ.

Mam honor Wielmożnemu Panu, a Panu memu Dobrodzieiowi, w małey moiey osobie pierwszego sługę domu tego iak naypokorniey prezentować, ktory szczęśliwą nazywa tę godzinę, w ktorey znakomite szczęście, dostało mu się w udziale Wielmożnego Pana, a Pana szwagra J. Wielmożnego Jenerała, z oblicza do oblicza poznać, i pod stopy iego usłać się.

JAKOB.

Poznać i pod stopy usłać się.

MAIOR.

Dosyć iuż tego, zołnierz iestem, iak

WPan widzisz i nie lubię wielkich ceremonii.

CIEMNWIDZ.

Przepraszam, przepraszam Wielmożny Mości Panie Maiorze Dobrodzieiu, choć się na wsi mieszka, zna się na powinności, względem osob wysokich.

JAKOB.

Zna się na powinności.

MAIOR.

No, no, iuż my śie lepiey poznamy, wiedź WPan o tym Panie Ciemnowidz, że naymniey przez dwa miesiące do przetrawienia intratek tuteyszych pomagać będę.

CIEMNOWIDZ.

Dla czego nie? roki, roki staremu Ciemnowiczowi, mocno sie to podoba. — Mowiąc bez własney chluby nazbierałem, naciułałem, tyle wszystkiego, iż się J. Wielmożny Jenerał zadziwi.

MAIOR.

Tym lepiey. — Zbieraiący szuka rozrzutnika, a co do tego, znaydzisz w szwagrze moim swego człowieka. — Czylisz WPan nie wiesz, że służbę woyskową opuścił, i w spokoyności, iuż tutay życie skończyć zamyśla.

CIEMNOWIDZ.

Co Pan mowi? ani iedna syllaba o tym, do uszow moich nie doszła.

JAKOB.

Ani iedna syllaba nie doszła.

MAIOR.

Wszak wiadomo WPanu, iak to u nas w Polszcze nie dawno było. — Nie było woyska, nie było karności. — W tych nieszczęśliwych czasach szwagier moy służył w woysku. — Służby nikt nie odprawiał, i on ią też zaniedbywał. — Rapporta na poręczowych krzesłach odbierał, na wachtparadach ledwo raz w tydzień pokazał się. — W exercerunkach, na subalternow spuszczał się.

ale teraz gdy duch patryotyzmu powszechnie w sercach Polakow ożył, gdy powołanie nasze bardziey cenić zaczęto, gdy się wygnana karność, i służba, przywiększey liczbie woyska do kraiu wrociły. — Szwagier moy ktoremu ta nagła odmiana, przypodeszłym iuż wieku zdawała się przyciężką, wziął aprzeyt zostawiwszy młodszym od siebie mieysce popisywania się na polu honoru i sławy.

CIEMNOWIDZ.

Co słyszę?

JAKOB.

Co słyszę?

CIEMNOWIDZ.

Więc iuż w dobrach swoich teraz żyć bedzie? Ach co za radość! — Teraz to dopiero stary Ciemnowidz, prawdziwie żyć zacznie.

JAKOB,

J młody Jakob także.

CIE-

CIEMNOWIDZ.

J. Wielmożny Jenerał, będzie chciał mieć zapewne, co poczta gazetę Hamburską, i przewyborną gazetę narodową Warszawską; przedziwny dowcip, ktory w niey od iednego końca, do drugiego panuie, byłby i dla mnie także że tak rzekę prawdziwym pokarmem. — Nic nowego Wielmożny Panie Maiorze, z politycznych obrotow kołowrota światowego?

MAIOR.

Nic, tylko że pożar woyny pewniuteńko się rozszerzy.

CIEMNOWIDZ.

O, otym iuż odkilku miesięcy wiedzieliśmy.

JAKOB.

Od kilku mieśięcy wiedzieliśmy.

MAIOR. (*śmieiąc się.*)

Niepodobna. — A to iako?

CIEMNOWIDZ.

He, he, he, w tym mi też iest sęk cały sekretu. — Ma się przyiacioł w ministeryum, trzyma się korrespondentow, odbiera się listy ze wszystkich stron.

MAIOR.

No? (*na stronie*) Już mnie nudzić zaczyna ten gáduła.

CIEMNOWIDZ.

Żałuię bardzo, że muszę odeyść, i niemogę dłużey Pana Dobrodzieia moiego zabawić.

JAKOB.

Żałuię bardzo.

MAIOR.

Niczego, pochodzę sobie po pokoiach.

CIEMNOWIDZ.

Niewiem w cale, gdzie mi sie Pani Betty zadziała. — Oy, to mi kobieta, ta ma gębusię, i potrafiłaby Pana zabawić.

MAIOR.

Pani Betty? ktoż ona iest? ta Pani Betty.

CIEMNOWIDZ.

Kto ona iest? tego na nieszczęście nie umiem powiedzieć.

JAKOB.

J ia, nie.

CIEMNOWIDZ.

Ani ieden z moich korrespondentow nie mogł mi dać o niey zawiadomienia. — Jest tutay, quasi domu Marszałkową. — Ale zda mi się, że iey miluchny głosek na wschodach słyszę. — Będę miał honor, przysłać ią na tychmiast do Pana mego.

MAIOR.

Nie fatyguy się WPan.

CIEMNOWIDZ.

Jak to, nie fatygować się? iestem Wielmożnego Pana zawsze nayuniżeń-

szy podnożek. (*z wielu ukłonami odchodzi.*)

J a k o b. (*mruczy także pod nosem.*)

Nayuniżeńszy podnożek. (*kłaniaiąc się niezgrabnie odchodzi.*)

M a i o r.

Teraz mi na kark, iak widzę starą iaką babę nadeszlą; ta mnie do ostatka zamęczy. — Jakiey że cierpliwości potrzeba z temi wieśniakami.

SCENA II.

MAIOR ELEONORA.

E l e o n o r a. (*z przyzwoitym ukłonem wchodzi do pokoiu.*)

M a i o r. (*oddaie ukłon za ukłon, i nieco zmieszany.*)

Nie; starą nie iest, (*powtornie na nią zpoziera.*) i brzydką nie iest.

E L E O N O R A.

Cieszy mnie, iż w osobie WPana Dobrodzieia mam szczęście poznać bratá protektorki moiey.

M A I O R.

Mościa Pani! każdy tytuł iest drogim dla mnie kiedy mi daie sposobność poznania WPani.

E L E O N O R A. (*na komplement ani spoyrzeniem, ani słowem nie odpowiadaiąc.*)

Piękna pora roku zapewne Jmć. Pana Jenerała z miasta wywabiła.

M A I O R.

Nie koniecznie. — Znasz go Jeymość dla niego wszystko iedno, deszcz, czy pogoda, wiosna lub zima, byleby tylko w własnym iego domu wiecznie kwitnęło lato, to iest przywiązana żonká. — Dobrze zastawiony stoł, stare winko, i kilku wesołych przyiacioł.

E L E O N O R A.

Godny iest zaiste Jmć. Pan Jenerał szacunku powszechnego. — Nigdy swe-

go czoła nie zachmurzy, zawsze rownego humoru, wesoły, zabawny uprzeymy dla wszystkich; przyznay WPan Mości Panie Maiorze, że Jmć. Pan Jenerał ulubionym szczęścia iest dzieckiem. — Nie sprzyczyny urodzenia lub maiątku, lecz dla iednostayności charakteru, dla czerstwości, ktora go nigdy nie opuszcza.

M a i o r. (*ktorego co raz bardziey rozum i piękność Eleonory porusza.*)

Prawda, bardzo wielka prawda i moy dobry, i wygodę lubiący szwagier, zdaie się, iż czuie własne szczęście swoie, i zechce go zawsze utrzymać. — Służbę woyskową teraz porzucił, aby iuż krewnym i przyiaciołom oddawszy sie, żył sobie spokoynie i bez troskow.

E l e o n o r a.

Prawdziwie iego sposobowi myślenia honor to czyni.

M a i o r.

Żeby mu tylko nakoniec samotność przyciężką niębyła.

ELEONORA.

Moim zdaniem Mości Panie Maiorze, samotność dla tego ktory do niey czyste sumnienie, i serce nie skłocone namiętnościami przynosi, pomnaża owszem życia słodycze.

MAIOR.

Pierwszy raz z ust pięknych, pochwałę samotności słyszę.

ELEONORA.

Podchlebiasz mi WPan z uszczerpkiem płci moiey.

MAIOR.

Bez żartu, wyznać muszę. (*nie w myśli iednak uczynienia płci piękney iakiego żartu.*) kobiety zdaią się mniey bydź do samotności stworzone, niżeli męszczyzni. — My tysiączne mamy zatrudnienia, stokrotne rozrywki, na ktorych pierwszym zbywa.

ELEONORA.

Mogęż się spytać iakie ?

MAIOR.

Harcuiemy na koniach, poluiemy, gramy, czytamy ,piszemy listy i tam daley.

ELEONORA.

Nie ma w tym wszystkim czego zazdrościć, każdy stan, każda osoba, na każdym mieyscu, ma swoie obowiązki ktore ieżeli wypełnia, staie się użytecznym członkiem społeczeństwa, i śama się zabawia.

MAIOR.

Wistocie życzyłbym sobie więdzieć, iak też cały przeciąg dnia każdego przepędzasz WPani....

ELEONORA.

O Panie Maiorze, nie uwierzysz WPan, iak prędko czas przebiega, kiedy pewny porządek, pewna stałość w życia naszego sposobie panuie. — Dzień ieden iak drugi, dziśieysza zorza poranna tak iak wczoraysza; częstokroć sama się siebie zapytam: czy poniedziałek iuż minął, czy sobotę dziś mamy? Zrana bawie się rozporzą-

dzeniem domu, wydzielam pracuiącym robotę, przechodzę się po folwarku, zayrzę do owiec, do bydła, i iuż ci południe; ku wieczorowi bawić się zaczynam. — Idę z ogrodu do zwierzyńca, ze zwierzeńca na łąki, karmię drob, polewam kwiaty, zbieram truskawki, lub też przypatruię się igraszkom, chłopcow i dziwcząt wieyskich.

MAIOR.

Wszystko to, są uciechy wiosny i lata. — Ale zima, zima.

ELEONORA.

Ktoż sobie zawsze zimę wystawiać będzie, iak zgrzybiałego starca w futrze i zrękawem. — Zima, ma także swoie osobne rozrywki; kiedy w ściany i okna domu, wicher śnieg i grad biią, ia w tedy siedzę w pokoiu przy ciepłym piecu. — Czas iest w tey porze otworzyć książkę, czytaniem duszę rozweselić, aż poki wiosienne słońce gorącey przyswiecać nie zacznie. — Czasem też sobie każę klawikort nastroić, tak dobrze iak nasz organista

potrafi, i przegrywam sobie co mi się podoba.

M A I O R.

Uszczęśliwiony, kto nitkę zabaw swoich, sam z siebie wyprzedzać może. — Jednakże nie podobna, żeby się czasem nie zapragnęło, ludzi widzieć.

E L E O N O R A.

Czyliż ich nie widzę i tu podostatkiem? Mości Panie Maiorze widuię tu twarze ludzkie zdrowsze, czerstwieysze, niżeli twarze wywiędłych w mieście, młodych staruszków. — A potym, procz Pana ekonoma i syna iego, mam ieszcze w cale upodobane towarzystwo kobiet wieyskich, ktore swemi rozmowami, mnie czasem serdecznie zabawiaią.

M A I O R.

Zaprawdę! ieżeli kto na świecie z każdego kwiatu miod wyssać umie, to zapewnie WPani Dobrodzieyka.,

E L E O N O R A. (*wzdycha nieznacznie.*)

SCENA III.

JAKOB CIŹ SAMI.

J a k o b.

Ja iuż go zatrzymać nie mogę, iuż iest na wschodach.

E l e o n o r a.

Kto taki?

J a k o b.

Stary Tobiasz żebym był miał pozwolenie użyć moiey ręki, dali pan, iużbym go był za prog wyparował.

E l e o n o r a.

Powiedz mu WPan Panie Jakobie; iż nie mam czasu, że nie iestem sama.

M a i o r.

Czegoż tu chce, ten starzecz?

J a k o b.

Kolanka uścisnąć i podziękować.

ELEONORA.

Zanic, za bagatele. — Idz WPan powiedz mu że go sama w tych dniach zawołać każe; albotež przechodząc wstąpię do niego.

MAIOR.

Pozwol WPani przyyść temu staruszkowi. — Jeżeli od niey dobrodzieystwami iest obdarzony, byłyby cieżarem, gdyby mu przynaymniey nie było wolno, podziękować za nie.

ELEONORA.

Niemasz w tym żadnych dobrodzieystw..i..

MAIOR. (*przerywa.*)

Bez fałszywey skromności, pozwol mi Pani bydź świadkiem sceny, ktora mnie wymowniey przekona, niżeli teraznieysza nasza rozmowa, iak szlachetnie czas swoy przepędzasz.

ELEONORA.

Nie potrzeba MPanie Maiorze. — Pocoż to? Panie Jakobie. — Jdź WPan

i powiedz Tobiaszowi, że go iutro chcę widzieć, niech do mnie przyydzie, albo ia go odwiedzę.

J a k o b.

Dobrze. — Kłaniam.

M a i o r.

Jak WPani chcesz, tak się stać iuż musi, szanuię wyrok, ale skromność iey, podwaia we mnie winny szacunek.

J a k o b.

Mam więc iść?

E l e o n o r a.

Tak iest.

J a k o b.

J powiedzieć Tobiaszowi słowa WPani Dobrodzieyki.

E l e o n o r a.

Tak, iest, tak iest.

SCENA IV.

ELEONORA i MAIOR.

E L E O N O R A. (*z pomieszaniem piękney duszy staraiąc się inny zacząc dyskurs.*)

Sądzę iż i J. Wielmożny Jenerał, nie zadługo stanie zapewne?

M A I O R. (*rzuca na nią częstę spoyrzenie w ktorych czułość wyczytać można*)

Nie; Mościa Dobrodzieyko, niech sobie powoli iedzie; Droga arcy zła i chropowata. — Przez spoznienie iego pozyskałem konwersacyą, ktorey nigdy nie zapomnę.

E L E O N O R A. (*śmieiąc się*)

Mości Panie Maiorze, słowa te są satyrą na ludzi.

M A I O R.

A to iak?

E l e o n o r a.

Gdyż te naturalne zdarzenia, zdaią się bydź WPanu rzadkiemi.

M a i o r.

Prawdziwie, zgadłaś WPani. J dzisiay przyznam się tak mało przygotowany byłem do podobney znaiomości; tak bardzo iestem w zadumieniu. — Gdy mi ekonom nazwisko WPani powiedział, ktożby się był spodziewał, żeby pod tak skromnym nazwiskiem. . .

E l e o n o r a. (*nagle przerywaiąc.*)

Nie zupełnie, pospolita kobieta ukrytą była? (*żartuiąc*) dla tego, radzę WPanu co iuż nie ieden moralista, na prożno i bez skutku przekładał. — Żebyś uczciwego człowieka, choć bez wielkiego nazwiska, zawsze wyżey szacował, a niżeli rozpustnika, ktorego familia trzysta lat liczy. — Wybacz mi WPan, zaczynam bydź żartobliwa, i nawet chcącą udawać rozumną. — Kobiety są do tego arcy łatwe i do gadatliwości skłonne.

MAIOR.

Jak gładko z drogi umiesz WPani z baczać. — O iey nazwisku była mowa.

ELEONORA.

Wiem o tym, nie myślę czynić go świetnieyszym iak iest w samey rzeczy.

MAIOR.

Wybacz Pani ciekawości moiey. — Byłaś. (*z boiaźnią.*) albo iesteś komu zaślubioną.

ELEONORA. (*nagle z wesołego humoru, w smutny zmieniwszy się.*)

Byłam za mężem Panie Maiorze.

MAIOR. (*ktorego ciekawość zawsze w granicach powinney attencyi zostaie.*)

Wdową tedy?

ELEONORA.

Proszę WPana, wżyciu ludzkim takie czasem znayduią się strony, kto-

rych poruszenie, smutny i nie przyiemny odgłos wydaią. — Proszę WPana.

M a i o r. (*z respektem.*)

Rozumiem.

E l e o n o r a. (*po małey pauzie, niby humor dobry znowu udaiąc.*)

Wsamey, rzeczy nie zadługo do wybiegow Pana ekonoma Ciemnowidza przykładać się zacznę. — Nic nowego ze stolicy, Panie Maiorze?

M a i o r.

Nic ważnego; niewiem iednak, coby ią tam interessować mogło? Jakież w stolicy bydź mogą iey znaiomości?

E l e o n o r a.

Moie? Żadne.

M a i o r.

Więc może w cale nie rodem z kraiu naszego?

E l e o n o r a.

J urodzona i wychowana.

MAIOR.

Pozwolisz się WPani zapytać, iaka okolica pod niebem?

ELEONORA. (*przerywatąe.*)

Mnie ubogą wzrastaiącą widziała iakiem iuż oświadczyła. Polska iest moią oyczyzną.

MAIOR.

WPani wszystko pod pełną taiemnie zasłoną ukrywać umiesz, tylko przymioty iey na iaw się okazuią.

ELEONORA.

Prożności kobiecey raczysz WPan tę słábość przypisać.

SCENA V.

CIŻ SAMI CIEMNOWIDZ z JAKOBEM. (*wpadaią drzwi otwieraiąc.*)

JENERAŁ i ŻONA *iego.* (*z dziecięciem wręku wchodzą.*)

JENERAŁ.

Tandem, iuż więc iesteśmy. Bog

błogosławił wyiazdowi naszemu. — Kochana Pani Betty, widzisz teraz WPani officiera inwalidę, ktory w przyszłości żadney inney, tylko WPani chorągwi, przysięgę złożyć zamyśla. (*ściskaią się.*)

E L E O N O R A.

Chorągiew moia, samotności poświęcona.

J E N E R A Ł.

J zewszech stron kupidynkami miłości upstrzona.

J E N E R A Ł O W A. (*ktora tymczasem także Eleonorę przyiacielsko ściska, i od teyże iest witaną.*)

Zapominasz WPan, Panie Mężu, że ia tu iestem.

J E N E R A Ł.

Do czarta! Pani małżonko. — Alboż to. (gdy się zdarzy) pierwszych czasow młodości przypomnieć sobie nie wolno? O iak się to w tedy szalało! — (*do Maiora.*) kochany szwagierku,

iakże te kilka minut przepędziłeś, diabelnie mi moie cztery siwce schlastałeś, żebyś iak nayprędzey tu przyleciał.

M a i o r.

Gdybym był znał wszystkie wdzięki, ktore to mieysce w sobie zawiera, zapewne bym prędzey ieszcze był pospieszał.

J e n e r a ł.

Toś mi walny, kiedy tak myślisz przyiacielu. — Ja kiedym był młody, wdzięków iak motyl kwiatow szukałem, wdzięk każdey rzeczy na świecie lustru dodaie.

J e n e r a ł o w a. (*do Eleonory.*)

O leś mcy podrosł, nie prawda? nie musiał się iednak bardzo odmienić?

E l e o n o r a. (*schyla się do dziecięcia i ciężki frasunek widać w iey twarzy.*)

To śliczne dziecko.

JENERAŁ.

Ale ale, spodziewam się, Ciemnowidz, że waść o dobrey przekąsce pomyślałeś?

CIEMNOWIDZ.

Tak dobrze, iak się w prędkości zrobić dało.

JENERAŁ. (*suknią wierzchnią ściągać sobie każe, tym czasem Maior siostrę na bok bierze.*)

MAIOR.

Prosze cię siostro, iakżeście perłę tu na wsi zagrzebali.

JENERAŁOWA.

Ha, ha, znowu to w nowe sidełka wplątało się; nie stateczny!

MAIOR.

Odpowiedz mi?

JENERAŁOWA.

Zowie się Betty...

MAIOR.

Wiem o tym ale.....

JENERAŁOWA.

Ale i ia nic więcey niewiem.

MAIOR.

Żart na stronę chciałbym wiedzieć.

JENERAŁOWA.

Żart na stronę, chciałabym żebyśmi teraz dał pokoy.

MAIOR.

Co za dziwaczny los moy iest dzisiay. (*chce odeyść.*)

JENERAŁ.

A dokąd Panie szwagrze?

MAIOR.

Do siebie.

JENERAŁ.

Zostań się WPan ieszcze, przed śniadaniem, przeydziemy się cokolwiek.

M a i o r.

Wybacz mi kochany Jenerale. Tyle mi rzeczy rozmaytych w głowie przechodzi, że o żadney inney przechadzce myśleć nie mogę. (*odchodzi.*)

SCENA VI.

JENERAŁ, JENERAŁOWA, ELEONORA, CIEMNOWIDZ, i JAKOB.

J e n e r a ł. (*rzuca się znienacka na krzesło.*)

J e n e r a ł o w a. (*bierze na bok Eleonorę i siadaią razem przy stoliku Eleonora dobywa ponczochę i pracuie.*)

J e n e r a ł.

Ciemnowidz! iak widze to waść zawsze ten sam zawsze wesoła pałka. . . .

C i e m n o w i d z.

Dla iak naypokornieyszey posługi J. Wielmożnego Pana.

JENERAŁ.

Spodziewam się, iż nie ieden żarcik będziemy mieli między sobą.

CIEMNOWIDZ.

Zechcemy mieć, dopomoż Boże.

JENERAŁ. (*pokazuie na Jakoba.*)

A to co za małpiarz stoi?

CIEMNOWIDZ.

To iest, za pozwoleniem Pańskim, moy rodzony syn, z nazwiska Jakob.

JAKOB. (*kłania się przekrzywiaiąc nogi.*)

JENERAŁ.

Jakże się w gospodarstwie szykuie?

CIEMNOWIDZ.

Wszystko wybornie i dobrze; miałem, nie chlubiąc się prace iak koń.

JENERAŁ.

Dla czego nie iak osioł?

CIEMNOWIDZ.

Albo i iak osioł, ieżeli J. Wielmożnemu Panu tak się podoba. Siano tegoroczne przedziwne, w życie robak uszkodził nieco.

JENERAŁ.

Polowanie iak idzie?

CIEMNOWIDZ.

Ptastwa leśnego mnostwo. — Zaiące w kapustach dosyc często goszczą.

JENERAŁ.

Czy dobry z waści strzelec?

CIEMNOWIDZ.

Przed czasem byłem nim, ale od lat czterech gdy mnie nieszczęście spotkało, że trzy swoyskie gęsi zastrzeliłem, ktore za dropie wziąłem, iuż odtąd strzelby więcey nie ruszyłem. — Moy kuba śtrzela czasami wroble.

JAKOB.

Ja strzelam wroble.

Ciemnowidz.

Wolałem raczey w czym innym o wysokie rozryweczki dla J. Wielmożnego Pana postarać się; zwierzeniec żeby Pan Dobrodziey widział; iak ia tam upstrzyłem. Pan go doprawdy nie pozna. — Tam widać domek pustelniczy; tu kręte drożki i manowce; tam obelisk; tu zabytki świętnicy miłości, i tyle tam podobnych cudów, a wszystko z ekonomią, wszystko z nayoszczędnieyszą oszczędnością. (*smieie się.*) he, he, he, tu zaraz naprzykład, gdzie się do zwierzyńca wchodzi, wybudowałem most chiński, nad małą rzeczką ktora owdzie płynie. Jak Pan Dobrodziey rozumie? iakiego drzewa do tego użyłem. (*smieie się.*) drzewa ze starego zawalonego kurnika.

Jenerał.

Ale to musiało bydź drzewo zgniłe; i most stoi ieszcze.

Ciemnowidz.

Stoi, aż do dnia dzisieyszego.

Jenerał. (*wstaiąc.*)

Więc muszę zaraz te wszystkie dziwy obeyrzeć ; każ tym czasem stoł nakryć.

Ciemnowidz.

Już nakryty. — Będę miał honor J. Wielmożnemu Panu towarzyszyć.

Jakob.

Będę miał honor towarzyszyć.

Jenerał. (*wychodząc do żony*)

Do zobaczenia moia rybko; a WPani, moia Pani Betty tak pilnie pracuiesz, iak gdybyś na chleb sobie zarobić chciała.

SCENA VII.

JENERAŁOWA i ELEONORA.

Jenerałowa.

Jakże moia kochana, męża mego znayduiesz ?

ELEONORA.

Zawsze tego samego, iakim odiechał takim i powrocił.

JENERAŁOWA.

Już podobno, nie tak prędko ztąd wyiedziemy. — Mąż moy przedsięwziął, wieyskiemu życiu całego siebie oddać; i ia na tym korzystam, będę mogła częściey olesiem moim zatrudniać się. — Słodka to praca, miłe zatrudnienie, nie prawda. ?

ELEONORA.

Ach! i wielka prawda.

JENERAŁOWA.

Coż ci iest moia kochana, iuż od przyiazdu naszego widzę smutek wyryty na twoiey twarzy; czy choroba? czy iaki przypadek?

ELEONORA. (*sił nabiera i wesołą twarz udaiąc.*)

Bynaymniey Mościa Dobrodzieyko; i owszem serdecznie się cieszę, iż w oso-

bie iey łaskawą protektorkę moią znowu widzieć mogę. — Zbytnia radość, częstokroć głębokie uczucia w tkliwym sercu sprawuie.

JENERAŁOWA.

Już dobrze, wierzę ci, przyiaciołko; iakże ci się mieysce to podobało w naszey nie przytomności, posępne zapewne.

ELEONORA.

J owszem przyiemne i zabawne.

JENERAŁOWA.

To mnie mocno cieszy; bądź zapewniona kochana Betty, iż cokolwiek do iey szczęścia będę mogła przyłożyć, wszystko chętnie i z serca uczynię. — Teraz iuż tu sami gospodarować będziemy. — Mąż moy nawet co większa xiążki gospodarskie poskupował. Zduszy przytym kupnie śmiałam się, ale cożczynić, kiedy mu się tak przywidziało.

ELEONORA.

Oczekuię z upragnieniem iaka część

pracy na mnie będzie włożoną; przynaymniey wysługiwaniem się za ich liczne dobrodzieystwa będę się mogła wypłacać.

JENERAŁOWA.

Będziemy mieli wszyscy doczynienia; podzieliwszy się robotą, nikt prożnować nie będzie; a cożbyśmy na wsi innego robili? Pokarmby nam nie smakował, gdyby pracą iakążkolwiek nie miał bydź przysolony.

ELEONORA.

Doświadczałam tey prawdy w tych czasach.

JENERAŁOWA.

Będziesz iey doświadczała i w przyszłości. Od WPani to zależeć będzie. — Jdę teraz do siebie uczynić niektore rozporządzenia, i wnet powrocę. (*odchodzi Eleonora z uniżonnością kłania się.*)

SCENA VIII.

ELEONORA SAMA.

Sama się niepoznaię. — Coż bydź może? co krew moią w tey chwili tak srodze oburza; czemuż łzy moie płyną. - - Już udawało mi się bydź Panią bolu moiego, i ugłaskać sobie, ową nie przymuszoną wesołość, ktora dawniey tak właściwą mi była; aż o to widok dziecięcia przeraża mnie, i przytomność prawie odbiera. — Gdy łaskawa ta Pani imie olesia wymowiła, o nieba niewiedziała, iż serce moie śmiertelnym przeszyła sztyletem. — J ia mam olesia; ieżeli ieszcze żyie, tak iest, ieżeli żyie; ktoż wie? Może on i mała wiktosia moia iuż dawno łupem śmierci padli. — Czemuż mnie dręczysz, dokuczaiącego wyobrażenia obłudo? Dla czegoż wystawiasz mi ubogie dzieciny walczące przeciwko chorobom młodości; łaknące suchym ięzykiem napoiu, ktory im naiemnicza ręka podaie; a może

i odmowić. — Niestety, opuszczone są, od złey i nie czułey matki. (*płacze.*) O iak mizernym i zarzuconym stałam się iestestwem.

SCENA IX.

ELEONORA i JAKOB.

JAKOB. (*bez tchu wpada i wrzeszczy co ma siły.*)

Ach biada nam! ach biada nam! ...

ELEONORA.

Coż tam iest znowu?

JAKOB.

J. Wielmożny Pan Dobrodziey w padł w wodę, Jasna Wielmożność utopiła się.

ELEONORA.

Kto? iak?

J a k o b.

Pan Jenerał, Pan Jenerał.

E l e o n o r a.

Utonął? utonął?

J a k o b.

Tak iest, tak iest.

E l e o n o r a.

Umarł.

J a k o b.

Nie, ieszcze nie umarł.

E l e o n o r a.

Więc WPan tak nie krzycz, żeby się otym Pani Jenerałowa niedowiedziała.

J a k o b.

Kto ia niekrzyczeć, ach biada nam, biada nam z Jaśney Wielmożności, ciecze iak z pudla, z całego ciała.

SCENA X.

CIŻ SAMI JENERAŁOWA, i MAIOR, *z rożnych stron przybiegaią.*

JENERAŁOWA.

Coż tam znowu?

MAIOR.

Co za hałas?

ELEONORA.

Przypadek łaskawa Pani, ale rozumiem mało znaczący przypadek. — Pan Jenerał, nadto się podobno zbliżył do wody, i nogi sobie trochę zamoczył.

JAKOB.

Nogi, tak Pani drwi sobie, aż ponad głowę w rzekę wleciał.

JENERAŁOWA.

O! wielki Boże!

MAIOR.

Bieżmy prędzey.

ELEONORA.

Poczekay WPan, Panie Maiorze uspokoy się WPani Dobrodzieyka. — Niech będzie co chce. — Pan Jenerał już iest wyratowany nieprawda? Panie Jakobie.

JAKOB.

Dali pan Jasna Wielmożność nie umarł, że tak powiem ze wszystkim, ale bardzo mokry.

JENERAŁOWA.

Mow młody chłopcze, mow.

MAIOR.

Opowiedz wszystko, co wiesz.

JAKOB.

Od początku, aż do końca?

JENERAŁOWA.

Tak, tak tylko prędko.

JAKOB.

Więc słuchaycie Państwo tylko By-

liśmy troie w tym tu pokoiu, ia, moy oyciec, i Pan Jenerał.

ELEONORA.

Tym sposobem Pan Jakob do wieczora nieskończy, krotko mowiąc byłeś tu WPan w pokoiu, i poszedłeś z Panem Jenerałem na spacer.

JAKOB,

Właśnie tak, nie inaczey.

ELEONORA.

Do zwierzyńca,

JAKOB.

Właśnie tak.

ELEONORA.

J tam zaczeliście się przechadzać.

JAKOB.

Właśnie tak, zgaduiesz WPani iak gdybyś umiała czarować.

ELEONORA.

Teraz, coż się daley stało?

J A K O B.

Daley się stało, ach biada nam. — Powracaiąc szliśmy nad stromieniem, a potym przybliżyliśmy się do mostu chińskiego, ktory moy oyciec ze starego kurnika, pozbiiał, tam tedy poszedł Pan Jenerał na most i powiedział iż miło bardzo i przyiemnie, widzieć się daie, iak się rzeczka pomiędzy drzewkami przedziera, i pokamyczkach szumi; w tym, tamże oparł się powoluteńku na poręczy, kri, kre kra, trzasła na dwoie poręcz, klap, plum i iużci leżała w wodzie Jasna Wielmożność.

E L E O N O R A.

Ale zaraz go wyciągneliście.

J A K O B.

Ja, nie.

E L E O N O R A.

Ale oyciec?

J A K O B.

Oyciec także nie.

ELEONORA.

Zostawiliście go tedy w wodzie leżącego?

JAKOB.

Zostawiliśmy go w wodzie, aleśmy wrzeszczeli co nam siły stało; i zdami się, iż precz, precz za wsią muśiano nas słyszeć.

ELEONORA.

J ludzie przybiegli zatym.

JAKOB.

Ten Pan Nieznaiomy przyleciał, ktory tam niedaleko mieszka, a ktory i słowa nie gada; to mi diabeł nie człowiek tylko raz skoczył, iuż był w wodzie, tam trzepał się, trzepał iak kaczka, schwycił Jasną Wielmożność za włosy, i wyciągnął na brzeg szczęśliwie.

JENERAŁOWA.

Niech mu nieba błogosławią temu Nieznaiomemu.

MAIOR.

A czemuż tu nieprzychodzą?

JAKOB.

Nadeydą niedługo i oni.

ELEONORA.

J Nieznaiomy?

JAKOB.

Ten zaraz, ztamtąd zemknął. — Pan Jenerał chciał mu dziękowa , ale on iuż był Bog wie gdzie zniknął....

SCENA XI.

CIŹ SAMI JENERAŁ, CIEMNOWIDZ,

JENERAŁOWA. (*idzie na przeciwko, i ścisnąwszy męża.*)

Ach moy kochany!

JENERAŁ.

Trzy kroki od ciała; widzisz żonko żem zmokł cały.

JENERAŁOWA.

Prędko, prędko, poydźmy; czystey bielizny.

JENERAŁ.

Nicto, nic, bądź spokoyna, iuż niebezpieczeństwo minęło. — Stary żołnierz troche się przekąpał; ale z tym wszystkim fatalny koniec mogł był wziąść ten casus, gdyby nie ow wspaniałomyślny Nieznaiomy; ktoż iest ten człowiek? Kto go zna? Ciemnowidz coś mi o nim, ni w pięć ni w dziewięć na baiał.

ELEONORA.

Nie można nic z iego postępkow wyrozumieć;przed kilku miesiącami przybył w tę stronę, i od Ciemnowidza domek ow przy zwierzeńcu naiął. Żyie spokoynie i cicho; nikogo niewiduie, z nikim nie mowi; widziałam go dwa

razy ale bardzo zdaleka; czołga się; ponury i na chylony ku ziemi, każdemu z drogi ustąpi, w skrytości zaś wiele świadczy dobrego.

JENERAŁ.

Podźcież do niego Ciemnowidz, i poproście go do mnie na wieczerzą; niech mnie odwiedzi, powiedz mu iż do domu przyiaciela zawita.

JENERAŁOWA.

Ale zapominasz się przebrać.

JENERAŁ.

Zaraz, zaraz.

JENERAŁOWA.

J proszek zażyć.

JENERAŁ.

Proszek; idź że mi moia serdeczna z twoim proszkiem; kielich węgrzyna, żeby krew żywiey nieco przez żyły przepędzić, to mi to lekarstwo, a waść Ciemnowidz słuchayno ieszcze, przyznać muszę, iż diabelsko wyraźny i

przenikaiący masz głos; umiesz ryczeć, że cię aż pod wodą dosłyszeć można.

C I E M N O W I D Z.

W szczerey chęci, iak nayprętszego usłużenia Jaśnie Wielmożnemu Panu.

J E N E R A Ł.

Ztwoim iednak mostem chińskim, możesz sobie poyść i do czarta.

J E N E R A Ł O W A.

Już dosyć tego, poydziemy; kochana Betty poszukay WPani proszek; ktory zawsze, w podobnych razach zażywany bywa.

E L E O N O R A. (*bierze się do kluczow*)

Natychmiast. (*odchodzi*)

J E N E R A Ł.

Chcesz tak koniecznie? No, to dobrze; kiedy się kobieta przyswoim utrzyma; rozumie że iest w raiu, niechcę ciebie żonko tey roskoszy pozbawiać; idźmy. (*odchozi.*)

SCENA. XII.

MAIOR, CIEMNOWIDZ, JAKOB,

MAIOR.

Nauka dla WPana Panie ekonomie, nigdy z drzewa spruchniałego niebudować,

CIEMNOWIDZ.

Ale moy Boże! Wielmożny Mości Panie Maiorze, chciałoby się wszystko zrobić po gospodarsku, Państwo się z tego cieszy; i nareście taktež bardzo spruchniały most nie był; tylko że Jaśnie Wielmożny Jenerał, cokolwiek przyciężki.

MAIOR.

Czemużeś WPan w wodę dla poratowania nieskoczył?

CIEMNOWIDZ.

Boże zachoway! byłbym na dno poszedł, iak ołow; nie, co nie iest twym

urzędem tego nie czyń; miałem do tego ważny list w kieszeni; zmokł by był zupełnie, i stałby się był nie czytelny. — List z Francyi od Chevaliera; iakże się zowie (*dobywa list z kieszeni i prędko go znowu chowa.*) Widzi Pan dobrodziey; mogłby kto rozumieć, iż nie prawda. — Oy ten list, ciekawe rzeczy zawiera (*wyciąga chustkę, list mu wypada Jakob tym czasem nieznacznie go podnosi.*) świat się nadtym zdziwi, a nikt na tę myśl nie trafi, że stary Ciemnowidz do całey tey rewolucyi należał.

MAIOR. (*śmieiąc się*)

Oy co tego, to prawdziwie nikt się nie domyśli, bądź WPan zdrow tymczasem; do zobaczenia idę do szwagra mego.

CIEMNOWIDZ.

Jia też wyiść muszę, i most chiński kazać naprawić; może Jaśnie Wielmożna Jenerałowa.

MAIOR.

Będzie się chciała przekąpać.

C I E M N O W I D Z.

Nie, nie, iuż go lepiey umocuiemy.

M A I O R.

Więc idziemy obydwa.

C I E M N O W I D Z.

Służę Wielmożnemu Panu (*odchodzą.*)

J A K O B. (*otwiera list*)

To ma bydź list z Francyi, a wszakże to ręka wuia mego; Pałkowicza krawca z Warszawy; a moy oyciec powiada że z Francyi; coż mu też to z tego przyydzie że kłamie. (*kiwa głową i odchodzi.*)

AKT III.

Okolica wieyska iak na początku 1go. Aktu.

SCENA PIERWSZA

NIEZNAIOMY (*siedzi na ławie z darni i czyta*) DOZORCA (*nadchodzi.*)

DOZORCA

Zegnam Pana, iadę do iego dzieci.

NIEZNAIOMY.

Czekay, znowu inne w mey głowie układy się snuią.

DOZORCA.

Naprzykład?

NIEZNAIOMY.

Muszę to mieysce opuścić.

DOZORCA.

Dla czego?

NIEZNAIOMY.

Już mi się niepodoba.

DOZORCA.

Przyczyna?

NIÆZNAIOMY.

Ważna, i wmym przekonaniu, zadobrą uznana.

DOZORCA.

Szanuie ią, lecz pozwol mi słow kilka powiedzieć.

NIEZNAIOMY.

Mow.

DOZORCA.

Dobry dziś uczynek wykonałeś.

NIEZNAIOMY.

Zkąd ta wiadomość?

DOZORCA.

Od ekonoma tuteyszego, ktorego niedawno spotkałem; powiedział mi, iż z Panem radby pomowić, i że zaraz nadeydzie.

NIEZNAIOMY.

J coż daley ?

DOZORCA.

Odkrył mi, żeś życie dzisiay iednemu poratował.

NIEZNAIOMY.

Milcz.

DOŻORCA.

A wiesz WPan komu ?

NIEZNAIOMY.

Nie.

DOZORCA.

Panu Jenerałowi Wesołowskiemu.

NIEZNAIOMY.

Mnieysza oto.

DOZORCA.

Prawdziwie taki postępek, łzy czułemu człowiekowi wyciska.

NIEZNAIOMY.

Stara babo.

DOZORCA.

Tak uczciwy, tak dobry Pan.

NIEZNAIOMY.

Znowu chcesz mi podchlebiać.

DOZORCA.

Przysięgam na honor, że kiedy w cichości przypatruię się, iak WPan w koło siebie dobrodzieystwa świadczysz iak niedolą każdego, zą swoią bierzesz, a iednak sam szczęśliwym nie iesteś, ach! serce mi się na ten czas kraie.

NIEZNAIOMY, (*zmieszany*)

Dziękuie ci.

DOZORCA.

Kochany Panie, nie miey mi za złe

co powiem smutny humor, ponurość umysłu, słowem melancholia twoia, niepochodzisz, z gęstey i czarney krwi; słyszałem raz od sławnego lekarza, iż ona we krwi i nerwach, obrała swoie dręczące siedlisko.

NIEZNAIOMY.

Nie wtym iestem przypadku, dobry przyiacielu.

DOZORCA.

Więc w istocie iesteś nieszczęśliwy? A iednak tak uczynny? Jak to trapi, iak to boli.

NIEZNAIOMY.

Cierpię niewinnie.

DOZORCA.

Cierpliwość wszystko zwycięży; wszak wszystko raz w życiu przeciesz się skończy.

NIEZNAIOMY.

Prawda że się skończy; alboż życie nie iest znikome? Z ostatnim tchem

ciała znikną marne obłudy; mieymy nadzieie, a ciężar stale dzwigaymy.

SCENA II.

CIŹ SAMI CIEMNOWIDZ.

Ciemnowidz.

Z pozwoleniem Pańskim; zlecono mi iest od Jaśnie Wielmożnego Jenerała Pana mego, abym Panu nayprzod naydzielnieysze dziękczynienie złożył, za znaiomą przysługę, powtore kazał się kłaniać, potrzecie, prosi do siebie do przyiacielskiego stołu.

Nieznaiomy. (*w lepia w niego oczy, nic nie mowiąc.*)

Ciemnowidz. (*do Dozorcy.*)

A WPan chciey oto, Panu uczynić uwagę, aby mnie zniczym nie odesłał.

Dozorca. (*spoziera na niego z nieukontentowaniem.*)

CIEMNOWIDZ.

Wybaczcie Panowie, ieżeli iak naypokorniey iako przystoi słudze Jaśnie Wielmożnego Jenerała, zapytam się czyliście obydwa nie oniemieli. (*patrzy na nich, pauza obraca się do Nieznaiomego mowiąc głośniey*) Łaskawe Państwo moie, rozkazali mi kłaniać WPanu Dobrodzieiowi, iak nayśliczniey, i prosic go, do ich domu na wieczerzą.

NIEZNAIOMY.

Jeść niechcę, i niebędę.

CIEMNOWIDZ.

Więc bądź Pan łaskaw poyść do nich przynaymniey.

NIEZNAIOMY. (*z niecierpliwością.*

Niepoydę.

CIEMNOWIDZ.

Także? to słowa wiecey powiedzieć niemam. — Tak mnie WPan zimno odprawiasz? a tego stary Ciemnowidz to iest ia Mości Dobrodzieiu, w życiu

swoim nigdy nie doznał; Pan Jenerał p zeięty iest wdzięcznością; ocaliłeś mu zycie. . . .

N I E Z N A I O M Y.

Chętnie to uczyniłem, co powinnością było.

C I E M N O W I D Z,

I Pan tedy niechce, to czcze słowko, wziąć od niego w podarunku, zato zduszy dziękuie. . . .

N I E Z N A I O M Y.

Niechcę.

C I E M N O W I D Z.

Prawdziwie iest to bydź nie ludzkim; przyznam się, iż wszyscy chcielibyśmy go w domu naszym widzieć; wszyscy pałamy chęcią dowiedzenia się, kto Pan iesteś? gdyż od nikogo, chyba od niego samego, oczy nam przetarte bydź mogą; żaden albowiem z naszych korrespondentow.

N I E Z N A I O M Y. (*mrucząc w stanie i odchodzi.*)

C i e m n o w i d z. (*na stronie.*)

Co za tetryk ponury? Trzeba teraz do tego Jegomości attak przypuścić; zobaczmy, ieżeli się z tym co nie uda. Słuchayno WPan. . . . ,

D o z o r c a. (*tył mu obraca.*)

C i e m n o m i d z.

Początek bardzo mało wruży. — Przyiacielu, Mospanie, dla czegoż na mnie nie patrzysz.

D o z o r c a.

Bo wolę nieme drzewa, niż natręta oglądać.

C i e m n o w i d z.

A ktoż to WPanu powiedział, żem ia natręt? Lecz mnieysza; niedbam na iego pochwały; ale kiedy mnie widzieć niechcesz, mowże przynaymniey, zemną.

D o z o r c a.

Niebay wiele, a gaday Panie ekonomie, chcesz się o co zapytać; pytay, a kończ.

CIEMNOWIDZ.

No, to iuż, 'iako tako foremniey przecież było. Więc tedy, krotko przystępuiąc do rzeczy, kto iest Pan WPana czy tam przyiaciel iego, kto on iest? Powiedz proszę.

DOZORCA.

Człowiek, męszczyzna.

CIEMNOWIDZ.

Zapewne, że nie dama, bo by był daleko grzecznieyszym; lecz iak się zowie?

DOZORCA.

Nazywa się po nazwisku Oyca swego.

CIEMNOWIDZ.

A ten był?

DOZORCA.

Żonaty.

CIEMNOWIDZ. (*z ironią.*)

Z kobietą iaką zapewne?

DOZORCA.

Właśnie, trafiłeś WPan.

CIEMNOWIDZ.

Coż go tu przyprowadziło?

DOZORCA.

Własna wola.

CIEMNOWIDZ.

Może że wpoiedynku....

DOZORCA.

Zaiąca zabił.

CIEMNOWIDZ.

Może dezerter, zbieg.

DOZORCA.

Od dziewczyny.

CIEMNOWIDZ.

Albo też iest....

DOZORCA.

Tym kim iest.

CIEMNOWIDZ. (*roziuszony*)

Przyiacielu! kto twoy Pán iest, nie przez ciebie, ale przez inne kanały, wiedzieć będę? Ale kto WPan iesteś Panie grzeczny, wiem arcy gruntownie.

DOZORCA.

Ktoż?

CIEMNOWIDZ.

O, o, lecz nie powiem gniewałoby się Paniątko; domyślay się; kłaniam. (*odchodzi*)

DOZORCA.

Gniewałbym się? co za pretensya? Jak to ludzie o ludziach sądzą; poszedł z kwitkiem nieborak, niewiele umnie pokarmu znalazł, do nasycenia ciekawości swoiey.

SCENA III.

NIEZNAIOMY, DOZORCA.

NIEZNAIOMY.

Poszedł iuż przecię ten człowiek?

DOZORCA.

Poszedł.

NIEZNAIOMY.

Słuchay.

DOZORCA.

Słucham Pana.

NIEZNAIOMY.

J my precz z tąd musiemy.

DOŻORCA.

Dokąd?

NIEZNAIOMY.

Bòg wie.

DOZORCA.

Poydę za Panem.

NIEZNAIOMY.

Wszędzie ?

DOZORCA.

J na śmierć.

NIEZNAIOMY.

Dałby Bòg ; tam iest prawdziwy pokoy.

DOZORCA.

Wszędzie iest pokoy ; niech z bokow wszystkich wichrzy, byleby w sercu nie było zawieruchy. — A Potym, w tey tu okolicy, tak iest przyiemno, iak i w innym iakim kącie świata ; położenie iest powabne, natura szczodrobliwa w pięknośći i owoce;

NIEZNAIOMY.

Ale niechcę, żeby na mnie oczy wytrzeszczano, nie iestem zwierzem z Afrykańskich stepow.

DOZORCA.

Jak WPan w mniemaniu swoim, każdey rzeczy dziwny obrot daiesz; że człowiek ktoremu się życie ocaliło, obrońcy swemu pragnie dzięki złożyć, to rzeczą bardzo naturalną znayduie.

NIEZNAIOMY.

Lecz niech mnie do żarłoctwa nie proszą.

DOZORCA.

Bądź Pan spokoyny, wątpię żeby to powtornie uczynili.

NIEZNAIOMY.

Nie rostropni! sądzą iż usługa nayważnieysza iuż przez to samo iest wypłaconą, kiedy sie raz może mieć szczęście, biesiadowania z niemi.

DOZORCA.

Prawda, lepszy i smacznieyszy skromny posiłek wdomu, gdzie za każdym kęsem, czynsz podchlebstw nie oddaie się, gdzie nikt nie iest przymu-

szony śmiać się z zimnych żarcikow, lub sławę trzeciego szarpać.

NIEZNAIOMY.

Wyiedziemy więc precz; uchodźmy z tąd.

DOZORCA.

Tylko cierpliwie; może się ta zgraia ludzi wnet z tąd rozpierszchnie; nieraz oni ze stolicy, na wieś przyieździaią, niby dla zdrowia i czystego powietrza; ale wkrotce syci darow iednostayney natury nudzą się, nie znayduiąc tu ani kart, ani arlekinow, ieżeli iakich sami z sobą nie przywieźli; nałog ich z tąd wypędzi, nałog, pamiętay WPan wyiadą, wyiadą oni z tąd wkrotce. . . .

NIEZNAIOMY.

Patrz, patrz, iak się tam uwiiaią mondury i kornety; tam, po nad łąką; poydę z tąd, niechcę tu zostać przy tak piękney pogodzie, muszę się, zatarasować, między cztery mury, aby tym gawronom poyść z drogi ieżeli

prawdziwe są natręty, gotowi wedrzeć się, aż do pokoiu mego, (*do Dozorcy*) słyszysz, zamknę się na klucz ze szrodka. . . .

DOZORCA.

A ia zewnętrznie straż odbywać będę.

NIEZNAIOMY. (*odchodzi*)

DOZORCA.

Jeżeli Panowie tak są ciekawi, iak ekonom, będę przymuszony bydź twardy iak głaz, niech się pytaią, niczego się odemnie nie dowiedzą, gdyż ia sam nic nie wiem, co się pod postacią tego cnotliwego męża ukrywa, że dobry, że uczciwy, to iest pewna, że niewiem kto on iest? Jaka zgryzot iego przyczyna? to druga pewność. Czas może wszystko odkryie.

SCENA. VI.

JENERAŁOWA *prowądzona od* MAIORA. DOZORCA.

JENERAŁOWA.

Widzisz o to twarz nie znaioma, bez wątpienia przyiaciel iego, albo sługa.

MAIOR.

Moy przyiacielu, czy nie możnaby z iego Panem pomowić?

DOZORCA.

Nie.

MAIOR.

Tylko ná minut kilka.

DOZORCA

Zamknął się.

JENERAŁOWA.

Powiedz mu WPan, iż dama pewna czeka na niego.

DOZORCA.

Na ten czas wcale nie otworzy.

JENERAŁOWA.

Może płeć naszą nie nawidzi?

DOZORCA.

Cały rodzay ludzki nie nawidzi w ogòlności, a kobiety wszczegòlności,

JENERAŁOWA.

Dla czego?

DOZORCA.

Może został oszukanym.

JENERAŁOWA.

Więc Jegomość, wcale nie iest grzeczny.

DOZORCA.

Na grzeczności zbywa mu wprawdzie, ale kiedy przydzie, życie komu ocalić, z niebezpieczeństwem własnego, nigdy tego nie omieszka.

M a i o r.

Nas tu także, nie prosta grzeczność prowadzi; żona i szwagier poratowanego, życzyliby sobie Panu twemu, wdzięczność swoię okazać.

D o z o r c a.

Gardzi nią.

M a i o r.

Osobliwy człowiek.

D o z o r c a.

Ktory nic sobie bardziey nie życzy, iak żyć spokoynie i cicho.

J e n e r a ł o w a.

Pewnie się z fortuną porożnił?

D o z o r c a.

Może.

J e n e r a ł o w a.

Może punkt honoru? Może nieszczęśliwa miłość.

DOZORCA.

Dla czego nie ?

JENERAŁOWA.

Albo może wietrznik ?

DOZORCA.

Może.

JENERAŁOWA.

Niech będzie co chce, życzyłabym sobie wiedzieć kto on iest.

DOZORCA.

J ia także.

JENERAŁOWA.

Jak to, i WPan go nieznasz ?

DOZORCA.

Znam go, lecz tylko z iedney strony, to iest znam serce i duszę iego; rozumiesz Pani, że się iuż zna ludzi, kiedy się zna ich nazwisko ?

JENERAŁOWA.

Brawo, podobasz mi się, ale życzy-

łabym sobie poznać i iego; ktoż WPan iesteś, sługa, czy przyiaciel?

DOZORCA.

Jey nayniższy podnożek. (*odchodzi*)

SCENA V.

JENERAŁOWA, MAIOR.

MAIOR.

Kaprys, przywidzenie; chce się osobliwszym pokazać każdy chciałby, w gronie braci, czymsiś rożnić się od innych, świat cały obżagla; ten zaś w cichey chatce się kryie.

JENERAŁOWA.

A sługa naśladuie Pana; poydźmy braciszku; poszukaymy męża mego, poszedł tu niedaleko na łąki z Panią Betty.

MAIOR.

Wprzody słow kilka. Siostro zakochałem się.

JENERAŁOWA.

Ktoryż to iuż raz w życiu?

MAIOR.

Pierwszy raz.

JENERAŁOWA.

Winszuię.

MAIOR.

Do tych czas wywinełaś mi się; lecz teraz siostro proszę cię; ktoż iest ona? nie bądz trzpiotowatą i śmianie ma swoy czas.

JENERAŁOWA.

Zmiłuy się, iuż będę posłuszną; ale nie rzucay na mnie wzroku tak obłąkanego, na coż się przyda, to zasępienie czoła, iak gdybyś duchy iakie chiał z pod ziemi wywołać. — Bez śmiechu i serio zatym, chociaż o nayśmieszniey-

szey rzeczy na świecie, bo o miłości; zkąd, i kto iest Pani Betty? niewiem, i iużem się w tym uwiadomiła; ile zaś mimo tego wiedzieć oniey mogę, nie ukryię przed tobą. Będzie temu blisko lat trzech, iak mi przypomroku wieczora iednego, doniesiono kobietę, ktora zemną z osobna mowić żądała. Przyięłam wizytę, i Pani Betty stawiła się, z tą samą powagą, rozsądkiem, i skromnością, ktore i ciebie oczarowały; na iey licach wyczytać można było, widoczne wyrycie boiaźni i pomieszania, ktore teraz w pełną słodyczy melancholią zamieniły się. Upadła mi do nog z proźbą poratowania nieszczęśliwey, bliskiey rozpaczy ofiaruiąc się służyć za Pannę. — Badałam prożno o przyczynę iey cierpienia, ona na całą taiemnicę, nie przeyrzaną umiała rzucić zasłonę. — Już więcey potym, wdzierać się w iey zaufanie, nie było myślą moią. — Gdy mi razu iednego na pewney przechadce tutay towarzyszyła, wyczytawszy w iey oczach spokoyne zachwycenie ktorym dusza iey nad pięknością natury prze-

iętą była. — Zapytałam się; czyliby tu zostać, i domowe gospodarstwo przyiąć na siebie niechciała. — Pochwyciła rękę moią, i do ust swych z nadzwyczaynym ogniem przycisnęła; wdzięcznością zaięta iey dusza, w łzach niemych malowała się; od tey chwili bawi się tutay, świadczy pokryiomu, niezliczone dobrodzieystwa, i iest kochaną od wszystkich, co ią otaczaią. (*z ukłonem* skończyłam Panie bracie.

MAIOR.

Za małoś powiedziała, by całey moiey ciekawości do godzić; dosyć iednakże, by przedsięwzięcie, skutkiem uwińczyć; siostro! bądź mi pomocą zaślubię ią sobie....

JENERAŁOWA.

Ty?

MAIOR.

Ja.

JENERAŁOWA.

Pan Maior z Prawdzickich, na Prawdziczu Prawdzicki.

M A I O R.

Co mowisz siostro? Wstydź się może myśl twoią z gruntu nie poiąłem. — Ale.

J E N E R A Ł O W A.

Ale tylko nie tak kwaśnio zaraz. Owe wielkie i wysokie maxymy, o rowności stanow, są przesliczne w romansach, ale my zawsze na świecie idealnym żyć nie możemy.

M A I O R.

Bez kazań siostro kochana. — Prawdziwa miłość mało uważa na przeszkody, ktore grube uprzydzenie wystawia. Nie iestem iuż impetycznym, burżliwym, zapalonym młodzieńcem; ale widzisz męża przed sobą, ktory. , . .

J E N E R A Ł O W A.

Ktory żonę poiąć pragnie.

M A I O R.

Nie, ktory rostropnie i z zimną krwią na sprawiedliwey szali odważył

korzyść i stratę; spokoyność domową, i przepych dworow; szczęśliwość życia, i prożne przyzwoitosci. — Słuchay siostro zarzucasz mi nieznacznie urodzenie; wysławiay mi iak chcesz herbow tysiące, ia ludzi ztąd tylko szanuię, że są podobnemi mi ludzmi. — Pan własney woli, chcę ią wziąść sobie za żonę, nikt mi tego zabronić niemoże; a potym ktoż wie, iakiego i ona iest urodzenia prosze, błagam cię siostro, bądź mi pomocą przyłoż swego starania, proszę cię oto.

JENERAŁOWA.

Wysłuchałam cię cierpliwie, widzę że przez ciebie, bardziey mowi namiętność, niźli zimne zastanowienie.

MAIOR.

Och! iuż mi nie czyń reflexyy; pomyślałem dobrze nad tym co czynię; wozić ią po dworach xiążęcych nie będę, zasiędę z nią sobie na wsi sam sobie wystarczę, czuć zaś własne moie szczęście, serce mnie nauczy. — Widzę iuż uszczęśliwienie moie w osobach ktore

mnie otaczać będą, Szwagier Jowialista; siostrzyczka czuła i przywiązana, małżonka ukochana; czegoż człowiek żądać więcey może?

JENERAŁOWA.

Pieknie mowisz, układ proiektu iak naylepszy, tylko ieszcze iedney małey rzeczy zapomniałeś.

MAIOR.

A ta iest?

JENERAŁOWA.

Czyli cię Pani Betty mieć zechce?

MAIOR.

W tym też własnie siostro pomoc twoia iest mi potrzebną. (*bierze iey rękę.*) znasz serce moie, nie tak się łatwo zapali, ale kiedy też kocha, kocha bez miary. — W woysku Francuzkim z rozkazu rodzicow moich wzrosły wsrzòd zdradzieckich i upiękrzonych sztuką kobietek, prawda że się czasami w sidła wplątało; słowem zgrzeszyło. — Lecz do czegoż ogień młodości, i

towarzystwo w ktorym się żyie nie nakłoni ? Minęły iuż te czasy odurzaiących uciech, teraz o trwalszych pomyśleć należy; teraz i moia iuż nadeszła godzina.

JENERAŁOWA.

Dobrze ci tak; tylko szkoda, że na taką dobrą i powolną dusze trafiłeś; szkoda, że Pan Brat u kolan xantyppy iakiey nie uległ.

MAIOR.

Ona tylko wzruszyć mnie zdołała; więc tedy luba siostro, z którą u iednychże piersi leżeliśmy.

JENERAŁOWA.

Wybacz nie zawsze u iednych, zapominasz może, iak u wielu razem z tobą nie byłam.

MAIOR.

Okrutna!

JENERAŁOWA.

Osobliwa głowo! poco ż te narzekania

Oto masz rękę moią; daię ci słowo, a to bez wszelkich oświadczeń i obietnic iż czynić będę, co tylko w moiey mocy będzie ale. (*ogląda się*) Cicho, ledwo co nas nie wysłuchano. — Idą tu, porzuć że tę minę małżeńską; czekay cierpliwie końca gry, ia sama karty zamięszam.

SCENA VI.

CIŻ SAMI ELEONORA *prowadzona od* JENERAŁA, *przy końcu* JAKOB.

JENERAŁ.

Dalibog prawda kochana Pani, przedziwnie piechotą chodzisz; niech z WPanią kto inny o zakład biega, ia niechcę.

ELEONORA.

Przyzwyczaienie Mości Dobrodzieiu

wychodź Pan tylko co dziennie, przez cztery tygodnie, a zobaczysz.

J e n e r a ł.

Tak iest chybaby mnie ochotka wzieła, stania się podobnym moim chartom wołowskim.

J e n e r a ł o w a.

Gdzieżeście byli? Szukaliśmy was.

J e n e r a ł.

Gdzieśmy byli? wiedz że o tym moy aniołku że kiedy się z Panią Betty idzie; to właśnie wiedzieć nie można gdzie się człowiek znayduie.

E l e o n o r a.

Zaprowadziłam Jmci Pana Jenerała, na ow pagorek, z ktorego piękność położenia mieysca tego, naydokładniey rozeznać można.

J e n e r a ł.

Prawda, widok iest piekny; ale stać tuż przy WPani. (*do Eleonory*) i przysłuchiwać się, iak poetycznie, i pitore-

sko wdzięki natury maluiesz, to ieszcze piękniey; nie gnieway się iednak, gdy ci powiem, że mnie iuż nigdy tam nie wyciągniesz. Nogi moie nie wystarczą; nie, czuie żem wiele chodził.

MAIOR.

Jdźmy więc do domu, wygodna kanapa zdaie się zapraszać.

JENERAŁ. *śmieiąc się*)

O! pomyśleć tylko o tym, to iuż się człowieka zaśiła, — Lecz teraz, tak iestem zmordowany, takie mam pragnienie, iż koniecznie wprzody popasać muszę, i oschłe podniebienie walną iaką libacyą pokropić; niebyłożby dobrze Panie Szwagrze, żebyśmy tam w krzewinie zasiedli, i butelkę wina przynieść sobie kazali.

JENERAŁOWA.

Myśl dobra; my kobiety, tym czasem pobiegamy sobie ieszcze. (*daie znak bratu swemu.*)

M a i o r. (*do Jenerała*)

Dobrze, będę kochanemu Szwagrowi służył.

J e n e r a ł.

Toś łepski; ale dokata opętana rzecz, niemasz kogo posłać do dworu, coś mi się zdaie, że to Jakob trzęsie tam gruszki przyparkanie (*patrząc na wszystkie strony.*) a tak iest, on, on, sam, Jakobie; hey Jakobie!

J a k o b.

Słyszę, słyszę biegnę stoię.

J e n e r a ł.

Skocz prędko do pałacu, i przynieś butelkę wina węgierskiego, i kieliszki dla nas; dla nas rozumiesz.

J a k o b.

Wina i kieliszkow dla nas, rozumiem (*odchodzi.*)

J e n e r a ł.

Poydź więc Maiorze, oboz nasz tym

czasem tu w podle rozłożemy. — Damy widzę niechcą poyść z nami.

M a i o r. (*idzie za nim, gdy iuż wielorakie z siostrą ukradkiem dali sobie w zaiemnie znaki.*)

SCENA. VII.

JENERAŁOWA ELEONORA.

J e n e r a ł o w a.

Wyznay mi teraz kochaną przyiaciołko iak ci się podoba, mąż co dopiero wyszedł?

E l e o n o r a.

Ktory?

J e n e r a ł o w a.

Moy Brat.

E l e o n o r a.

Wart bydź bratem WPani Dobrodzieyki.

Jenerałowa. (*z ukłonem.*)

Uniżenie dziękuię; w pugilares to moy zapiszę.

Eleonora.

Bez pod chlebstwa Mościa Dobrodzieyko, widzę w nim cnotliwego człowieka.

Jenerałowa.

J pięknego człowieka.

Eleonora. (*z oboiętnością.*)

O tak iest.

Jenerałowa.

O! tak iest; to właśnie, tak brzmiało w iey ustach, iak gdybyś mowiła, o nie. — Ja zaś WPani powiedzieć muszę, że on w niey widzi piękną kobietę (*Eleonora śmieię sie.*) nic na to nie mowisz?

Eleonora.

Coż mam mowić? Szyderstwo z ust WPani Dobrodzieyki wychodzić nie

zwy-

zwykło. — Więc to był żart ale ia do długiego utrzymywania żartu, w cale nie iestem zdatną.

JENERAŁOWA.

Tak, iak bydź iego pobudką; nie; nie zartuię; więc pomyśl.

ELEONORA.

Niewiem co odpowiedzieć; sama siebie niechcę upiękrzać; był w prawdzie czas, kiedym się za piękną poczytywała; ale kłopot, wiele uiął okrasy moiey; ach spokoyność serca iedynie twarzy kobiecey, owe czaruiące powaby udziela, ktore wzrok uczciwych mężow usidlić mogą.

JENERAŁOWA.

Dałby to Bòg, żebym zawsze, tak czyste miała serce, iakie się w oczach WPani wydaie.

ELEONORA. (*wzdycha i prędko.*)

Niech ią nieba zachowaią od tego.

J e n e r a ł o w a. (*z podziwieniem*)

Jak to?

E l e o n o r a. (*łzy zatrzymuiąc.*)

Pofolguy mi łaskawa Pani; iestem nieszczęśliwa; winy moie, nie daią mi żadnego prawa, do przyiaźni szlachetney iey duszy, ale do miłosierdzia, i do litości. (*chce odeyść.*)

J e n e r a ł o w a. (*bardzo łaskawie.*)

Zostań się kochana Betty! musisz się zostać; rzecz ktorą ci chcę odkryć, warta iest wysłuchania. — Własne twe oskarżenie, nie odstrasza mnie; zdaie ci się iż za każdym krokiem piekło widzisz, ale te mary w wyobrażeniu twoim, znayduią się szczegolnie.

E l e o n o r a.

O! dałby to Bog żebym piekło przed sobą tylko widziała; udręczona, noszę go wszędzie z sobą w sercu występnym.

J e n e r a ł o w a.

Przyiaźń na wszelkie rany, ma sku-

teczny balsam; pierwszy raz proszę ią o zaufanie; wiadomo WPani, ieżelim iey w przeciągu lat trzech znaiomości naszey, niedyskretną ciekawością była kiedy ciężarem; dzisiay szlachetnieyszy interefs powoduie mną; upraszam o iey ufność, z miłości dla brata moiego. Moy brat kocha WPanią.

E l e o n o r a. (*z zatrworzeniem w oczy patrząc Jenerałowey.*)

Jeżeli żart to zawiele, ieżeli nie to nowy cios dla mnie.

J e n e r a ł o w a.

Nim daley postąpiemy, pozwol mi żebym ci pierwey, charakter brata moiego odmalowała, a przyrzekam, iż pędzlem nie siostry ręka powodować będzie; mogłabyś go łatwo, za lekkomyślnego poczytac; gdyż ledwo cię widział, a zaraz pokochał; lecz przyiaciołko iest on człowiekiem stałym, gruntu doświadczonego; nie postać, nie bogactwa, nie urząd, wyborem iego kierowały; szukał serca od natury umysłu wychowaniem, wydoskonalonych;

oboyga tego, dałaś mu dowody; potaiemne twe dobrodzieystwa, nie zostały przed nim ukryte, a rozum twoy ..... Szanuię to skromno wstydliwe zarumienienie się; słowem brat moy w tym względzie patrzy na ciebie, teraz uważ sama, czyli prosić cię o zaufanie nie miałam prawa? Odkryi się przedemną; nic natym nie stracisz, wyley rzetelnie troski twoie na łono, umieiącey zamilczeć siostry, a twoiey przyiaciołki.

ELEONORA.

O! Boże, czuię to z boleścią, że naywiększa ofiara ktora prawdziwa skrucha przynieść może, iest dobrowolne wyzucie się z szacunku ludzi nam miłych; uczynię na koniec tę ofiarę; lecz niestety! czyli sz szczerość moia, iuż mściwym zgryzotom koniec położy. (*z łkaniem.*) Niesłyszałaś WPani Dobrodzieyka kiedy; o cieżko, cieżko iest podrzeć zasłonę zwodniczey obłudy, ktorey szczegolnie do tych czas łaskawość i przywiązanie WPani Dobro-

dzieyki winna byłam; ale tak stać się musi. Wstydź się Eleonoro przystoiż ci pycha? Niesłyszałaś Pani kiedy o pewney Pułkownikowey Zacniewskiey.

J e n e r a ł o w a,

Jeżeli się nie mylę, słyszałam; mowiono mi niegdyś, o tym stworzeniu, powiadano, że zacnego, i czci godnego małżonka, uczyniła arcy nieszczęśliwym.

E l e o n o r a.

O nieba! tak iest, bardzo zacnego i czci godnego małżonka.

J e n e r a ł o w a.

Ubiegła od niego, z iakiemsiś oszustem, zwodzicielem.

E l e o n o r a.

Tak iest ubiegła, uciekła od niego (*pada bez przytomności do nog Jenerałowey*) nie odpychay, nie odrzucay mnie; udziel choć nayszczupleysze mieysce, naktorym bym skonać przynaymniey mogła.

JENERAŁOWA.

Co słysze? WPani byś była....

ELEONORA.

Ja iestem tym stworzeniem występnym...

JENERAŁOWA. (*odwracaiąc się zgniewem.*)

WPani (*oddala się krokow kilka; serce nazad ią ciągnąć zdaie się.*) Ale nieszczęśliwą iest pokutuie surowo (*z litością spoziera na nią.*) Wstań WPani prosze wstań WPani; mąż i brat moy nad to są blisko; przypadek ten nie cierpi świadkow, przyrzekam iey milczenie (*podnosi ią.*)

ELEONORA.

Sumnienie moie, sumnienie, nigdy milczec nie będzie (*ściskaiąc rękę Jenerałowey*) nie odpychay, nie odrzucay mnie.

JENERAŁOWA.

Nie, nie oddalę WPani od siebie;

postępki iey w trzech rokach ostatnich, iey żal, skruszenie serca, nie zatrą wprawdzie występku, ale schronienia wolnego, serce moie nie odmowi WPani. — Tu będziesz mogła opłakiwać do zgonnie stratę męża twoiego.

Eleonor. (*z zimną rozpaczą.*)

Ach! stratę nienadgrodzoną.

Jenerałowa.

Biedna kobieto.

Eleonora. (*zawsze tym samym tonem.*)

Miałam także i dzieci.

Jenerałowa.

Dosyć iuż.

Eleonora.

Bòg wie, czy żyią, czy umarły.

Jenerałowa.

Nieszczęsna matko.

ELEONORA.

Posiadałam godnego kochania małżonka.

JENERAŁOWA.

Nie dręcz się więcey,

ELEONORA.

Bòg wie czy żyie, czy umarł?

JENERAŁOWA.

Żal cię unosi.

ELEONORA.

Już dla mnie umarł.

JENERAŁOWA.

Uspokoy się.

ELEONORA.

Miałam i podeszłego oyca.

JENERAŁOWA.

Dla Boga, dosyć iuż tego.

ELEONORA.

Czarna zbrodnia corki, dogryzła życia iego ostatek.

J e n e r a ł o w a.

Jak się mści dotkliwie cnota obelżona.

E l e o n o r a. (*w gorzkie i głośne łzy nakoniec w padaiąc i twarz sobie zastaniaiąc.*)

A ia ieszcze żyię.

J e n e r a ł o w a.

Ktoż by ią mogł nienawidzić? (*uściśnąwszy Eleonorę.*) nie, nie jesteś występną; moment ten był snem, obłąkaniem zapomnieniem się.

E l e o n o r a.

O nie ochraniay mnie, nayłaskawsza Pani! gdybyś wiedziała, iż każde naymnieysze zbrodni moich ulżenie, tym mnie srożey przenika; nie, nie mogę bydź usprawiedliwioną; iedyne i smutne serca zaspokoienie, w tym tylko znayduię że się bez żadnych wybiegow, godną wzgardy i obelgi uznaię.

J e n e r a ł o w a.

Takowe oświadczenie, cechą iest nie zmyślonego żalu.

ELEONORA.

O gdybyś go WPani Dobrodzieyka widziała była w tedy, kiedym go pierwszy raz poznała, tego pięknego i cnotliwego męża . . ledwo lat czternaście liczyłam na ten czas.

JENERAŁOWA.

A Związek ich.

ELEONORA.

W kilka miesięcy nastąpił.

JENERAŁOWA.

Ucieczka zaś WPani ?

ELEONORA.

Dwa lata byłam iego małżonką.

JENERAŁOWA.

W tym razie doświadczenie młodości wymowić ią może.

ELEONORA.

Nie, młodość moia bynaymniey mnie nie wymawia, (*spoziera ku niebu.*) sta-

ry, czci godny Oycze, byłoby to ciebie oskarżać; wszczepiłeś w serce moie, prawidła honoru i cnoty, ostrzegałeś mnie o truciznie podchlebstwa, i zdradnego podeyścia.

JENERAŁOWA.

Coż może wychowanie, na przeciw iakiemu Lowelasawi.

ELEONORA.

Powinnam się była poznać na zdraycy, ktory nie wart był weyścia w prog domu męża moiego, ale byłám tak wielce zaślepioną; dzieci, oyca i małżonka opuścić! zgromiłam głos wewnętrzny na moment, cnotę na zawsze stłumiłam.

JENERAŁOWA.

Ztym sercem iednak przyiaciołka moia długo błądzić nie mogła.

ELEONORA.

Aż nadto długo; prawda, iż w kilka tygodni szum zapamiętałości ule-

ciał; struchlałam, przywoływałam z rozpaczą nazwisko uczciwego małżonka na prożno; oblana zimnym potem, całowałam na uściskanie niewinnych dzieciąt na prożno; niestety iak srogie mnie na ow czas dręczyły katownie, kiedy mgła z przed oczow moich upadła.

JENERAŁOWA.

Oddal te przykre wspomnienia, domyślam się końca; opuściłaś zdraycę.

ELEONORA.

Tak iest, i udałam się pod opiekę wspaniało-myślney duszy, ktora mi dobrotliwie to mieysce ofiarowała na ktorym płakać mogę i gdzie za iey łaską dni życia mego zakończę (*pada iey do nog.*)

JENERAŁOWA. (*ścisnąwszy ią serdecznie*)

Tu, tu na łono moim, niech w przyszłości łzy twoie płyną; niczego sobie bardziey nie życzę, iak wskrzeźić w

twym sercu pocieszaiącą ufność w miłey nadziei.

ELEONORA.

Ach nie! nigdy w mym życiu.

JENERAŁOWA.

O twoim mężu, nic potym nie słyszałaś.

ELEONORA.

Opuścił miasto, w ktorym żył, nikt nie wie dokąd się udał.

JENERAŁOWA.

A dzieci?

ELEONORA

Wziął z sobą.

JENERAŁOWA.

Będziemy się wywiadywać, musiemy; cicho mąż moy i brat; ach moy biedny brat, wcale o nim i zapomniałam, prędko kochana przyiaciołko przybierz wesołą minę.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI JENERAŁ i MAIOR, *nadchodzą z kieliszkami w ręku , przy końcu* JAKOB.

JAKOB. (*zostaie się w tyle cokolwiek*)

JENERAŁ.

No, idźmy dzieci, coś zimno bydź zaczyna spieszmy do domu.

JENERAŁOWA.

Wszak nie tak ieszcze pozno.

JENERAŁ.

Mniemaciesz więc, chociaż żołnierz iestem, iż nie dosyć dzisiay iuż wytrzymałem. — Nayprzod podroż, potym zimna kąpiel, potym marsz forsowny, pod komendą Pani Betty.

JENERAŁOWA.

Niechże iuż i tak będzie, gotowe iesteśmy.

Jenerał. (*do Maiora ostatek z kieliszka wypiiaiąc.*)

Skończmy Maiorze (*wyprożniaią kieliszki*) hey Jakobie, odnieś te kieliszki. . . . Coż to do czarta i waść piiesz wino iak widzę.

Jakob.

A tak piię, smaczne iest, smaczne.

Jenerał.

Ktoż to waści pozwolil ?

Jakob.

Jasna Wielmożność rozkazał.

Jenerał.

Ja.

Jakob.

Tak iest, czyż Pan nie powiedział, przynieś kieliski dla nas, dla nas.

Jenerał.

Dla mnie i dla Maiora.

J A K O B.

No wszak i ia przytym stałem?

J E N E R A Ł.

Chłopcze, waść nadto wcześnie zgłupia frant iesteś. No, naprzod; marsz. A propos, iakże z nieznaiomym, czy nadeydzie?

J E N E R A Ł O W A.

Nie; wyraźnie ekonomowi odmowił.

J E N E R A Ł.

Cudowny iakiś z niego święty! ale to iednak tak nie uchodzi; muszę mu rekognicyą moią, iakim kolwiek bądź sposobem okazać. Wiesz WPan có Panie Szwagrze, zaprowadź żonkę moią do domu, a potym idź WPan sam do niego, i poproś go do nas.

M A I O R.

Jeżeli w tym przysłużyć się mogę chętnie bardzo.

JENERAŁ.

Kawałek chleba przynaymniey ofiarować mu muszę (*bierze pod ramie Eleonorę, a Maior Jenerałową i odchodzą*)

JAKOB.

Biorę teraz, każdego] chrześcianina człeka za sędziego, i pytam się, kiedy ich troie razem stoi a Jasna Wielmożność mowi, skocz po kieliszki dla nas, czysz i ia także między to nas nie należę? A zaraz burka. Tym czasem iednak winko smakowało i dosyć mi natym. (*trzęsie głową i odchodzi.*)

AKT IV.

Okolica wieyska w głębi teatru widać część iedną zwierzyńca i domek w ktorym mieszka Nieznaiomy.

SCENA PIERWSZA

DOZORCA *w krotce potym* MAIOR.

DOZORCA.

Już lat trzy temu, iak usługi moie, poczciwemu Panu moiemu ofiarowałem, a ieszcze przyczyny ponurości iego dociec nie mogłem; dla niego piękna natura żadney ponęty, życie żadnego nie ma powabu, nigdy go śmieiącego się nie widziałem. Zaboyca samego siebie zeby się przynaymniey doiakiegoż kolwiek stworzenia przywiązał; człowiek cożkolwiek przecię ko-

chać musi. Ale nie, niczym się niebawi tylko czytaniem a w myślach zanurzony, ieżeli usta otworzy, to tylko na spotwarzenie rodzaiu ludzkiego. Z tym wszystkim nędze i ubostwo bez wsparcia od drzwi swoich nigdy nie oddali; sposob życia iego i ia iuż powoli przeymuię; znayduię roskosz w osobności, przed ktorą dawniey uciekałem (*widzi zdaleka Maiora*) O ho iużci znowu napastować nas będą, szpieguią nas zewsząt, i chwili nam dzisiay spokoyności, niechcą dozwolić (*chce odeyść.*)

M A I O R.

Poczekay moment moy przyiacielu

D O Z O R C A. (*na stronie*)

Miły Boże! iak też to ludzie tym nazwiskiem przyiaciela frymarczą.

M A I O R.

Chciałbym z Panem twoim pomowić.

D O Z O R C A.

Nie mogę w tym usłużyć.

K ij

MAIOR.

Dla czego?

DOZORCA.

Zakazano mi.

MAIOR. (*w tyka mu w rękę pienią dze.*)

No, weź to, a zamelduy mnie.

DOZORCA.

Ja, nie potrzebuię pieniędzy.

MAIOR.

Więc oznaym mnie tylko.

DOZORCA.

Dobrze, oznaymię WPana, ale coż to pomorze? Ja złaiany zostanę a WPan odbierzesz odpowiedz niezgodną z swym życzeniem.

MAIOR.

Ktoż wie? Powiedz mu iż go tylko na minutę upraszam, iż w żadnym względzie, niechcę mu bydź ciężarem.

Jeżeli Pan twoy dobrze iest wychowany, sądzę, iż czekać mi na prożno pod gołym niebem niekaże.

DOZORCA.

Idę, może mi się poszczęści.

MAIOR. (*woła za nim.*)

Słyszysz tylko go na iedną proszę minutę.

DOZORCA.

Już dobrze (*odchodzi.*)

MAIOR.

Z tym wszyskim, ieżeli nadeydzie; iakże go przyiąć? Jak się z nim obeyść? Na nieprzyiaciela ludzkości, nigdy ieszcze w biegu życia moiego nie natrafiłem. Wielu bardzo pisarzow ogromne i piekne foliały, o obcowaniu z ludźmi napisało, ale wszyscy zapomnieli dać nam naukę, iak się z takową obchodzić istotą, ktorey świat cały, i własne życie obmierzły; niech będzie iednak co chce; na szczęście, twarz otwarta, przyiazna, nie nadto smiała,

nie nadto trwożliwa, sprobuię temi sposoby, iako tako z każdym znaleść się można.

SCENA. II.

MAIOR, NIEZNAIOMY.

NIEZNAIOMY.

Czekam na rozkazy.

MAIOR.

Wybacz WPan (*poznaię go nagle*) Zacniewski....

NIEZNAIOMY. (*poznaie go także*)

Prawdzicki (*biegną na siebie wzaiemnie ściskaią się.*)

MAIOR.

Tyś to, tyś to iesteś, moy dawny przyiacielu.

N i e z n a i o m y.

Jestem nim, iestem twoim przyiacielem.

M a i o r.

Moy Boże iakże cię smutek, i zgryzoty zmieniły.

N i e z n a i o m y.

Pioruny nieszczęścia! cios po ciosie, ciężko na mnie padały; ale zkąd się tu wziołeś? czego chcesz?

M a i o r.

Stoię tu i myślę, iak Nieznaiomego pustelnika przywitać? Jak z nim rzecz rozpocząć? Przychodzi, aż oto kochanego przyiaciela znayduię (*ściska go powtornie.*

N i e z n a i o m y.

Czy nie szpiegowałeś mnie czasem? Czyś nie wiedział iż mieszkańcem tey chatki iestem?

M a i o r.

Nie wiedziałem, na honor. Ocaliłeś

dziś życie szwagrowi memu; wdzięcznością przeięta familia moia, chciała cię w pośrzodku siebie oglądać; odmowiłeś prożbą iey, przez usta ekonoma. — Żeby tedy zaproszeniu więcey dać waloru, posłano mnie do ciebie; widzisz za tym śrzodki, ktore mi przypadek zdarzył, znalezienia tu przyiaciela moiego.

NIEZNAIOMY.

Nie inaczey, iestem twoim przyiacielem, twoim prawdziwym przyiacielem. Dobry człowiek, rzadki człowiek iesteś, serce moie nie odmienne iest dla ciebie; ale ieżeli to zapewnienie, iest ci szacownym i miłym, Prawdzicki opuść mnie, zostaw mnie, i nie powracay tu nigdy.

MAIOR.

Wszystko, co w tobie widzę, wszystko co od ciebie słyszę, staie się dla mnie zagadką; poznaię cię, twarz twoią przypominam sobie; ale nie są to te same lica, ktore niegdyś francuzkie

dziewczęta kochały; nie widzę w tobie owego humoru, bez przymusu wesołego, ktory radość w zgromadzeniu każdym podwaiał.

NIEZNAIOMY.

Zapominasz że siedmiu laty starszy iestem!

MAIOR.

Alboż to tak wielka liczba. Niemożesz mieć więcey, iak lat trzydzieści i kilka; czemusz unikasz spoyrzenia mego? czemu na mnie nie patrzysz! Obawiasz się, żebym w oku twoim zwierciadła twey duszy nie widział? Gdzież iest, ow wzrok pełen ognia, ktory niegdyś w sercach wszystkich ludzi czytał?

NIEZNAIOMY. (*kwaśno.*

Wszak moy w sercach ludzkich czytał? ha, ha, ha.

MAIOR.

O Boże! chętniey bym sobie był życzył, nigdy cię śmieiącego się niesły-

szeć, niźli w tym tonie. — Przyiacielu coż ci się stało?

N i e z n a i o m y.

Zdarzenia codzienne! bieg świata, przypadki proste, o iakich na wszystkich ulicach gadaią. Prawdzicki, chceszli żebym cię nie nienawidził, zaniechay twych pytań, a ieźli chcesz żebym cię kochał opuść mnie.

M a i o r.

Wstydź się! iak to losy człowieka i naystalszego poniżyć mogą; prosze cię obudź twardym letargiem uspione wyobrażenia słodyczy ubiegłey przeszłości; przypomniey sobie, owe wesoło przepędzone dni w Alsacyi, gdyśmy odrywaiąc się od wszystkiego co nas otaczało, samotnie ramie w ramie, po wałach Strazburga albo nad brzegami Renu błądzili. — W tych błogosławionych chwilach zawiązane zostały, węzły przyiemne, ktore dusze nasze, nazawsze złączyły; w tych szcześliwych momentach, udarowałeś mnie tym pier-

ścieniem, na znak przywiązania; przypominasz ieszcze to sobie?

NIEZNAIOMY.

Za coż nie?

MAIOR.

Stałem że się od tego czasu, niegodnym zaufania twego.

NIEZNAIOMY.

Nie Prawdzicki.

MAIOR.

Byliżeśmy kiedy przyiaciołami godziny iedney z hazadu, z widzimi się przez wspolne uciechy, lub hulania? Alboż nie walczyliśmy na basztach obok siebie przeciw grotom śmierci. Przyiacielu! boli mnie, iż prawa ktore mam do ciebie, ważnemi uczynić przynaglony iestem, pamiętasz tę bliznę.

NIEZNAIOMY.

Bracie był to zamach szpady, ktory miał mi głowę rozwalić; nie zapomnia-

łem o nim. Ach! niewiedziałeś w tedy iak fatalny podarek mi dałeś!

MAIOR.

Mow zatym, proszę cię.

NIEZNAIOMY.

Ty mi w niczym pomodz nie możesz.

MAIOR.

Dzielić żal twoy będę przynaymniey.

NIEZNAIOMY.

Niechcę ia tego. Już sam od dawna łzy wylać niemogę.

MAIOR.

Day mi więc słowa, zamiast łez; iedne, i drugie, sercu ulgę przynoszą.

NIEZNAIOMY.

Serce moie podobne iest, długo zamkniętemu grobowi. — Dozwol więc niech zgniie, niech się roztoczy, co tam zagrzebanym zostało; pocoż go otwierać, i okolne zarażać powietrze?

M a i o r.

Należy go przeczyścić, ażeby budowla cała, inną na siebie przybrała postać. Jak ty wyglądasz? Zawstydź się, mąż tak rozumny; mąż twoich talentow, ktory zawsze w potocznym życiu, praktycznie oświeconey filozofii przepisy wypełniałeś, teraz będąc momentalnym igrzyskiem fortuny, takeś nisko ku ziemi nagięty; ieżeliś w łancuchach w czarnym stękał lochu, ieżeliś od łotrow obdarty, ieżeliś wyszydzony został, ieżeliś niesprawiedliwą pognębiony, był kiedy przemocą, przecież nie mogę ci darować tey słabości charakteru, ktorą dziś w tobie z zadumieniem odkrywam.

N i e z n a i o m y.

Krzywdzisz mnie Prawdzicki, mniemałem wprawdzie iż oboiętnością dla mnie iest i będzie zawsze, co tam iaki człowiek na świecie o mnie myśleć może; ale w tym momencie czuię, że mnie to ieszcze dotyka. Przyiacielu! nie oddalisz się więc, od znikaiącego iuż

cienia przyiaciela; bez dokładney wiadomości, iak go, wiszące nad nim przeznaczenie boleśnie katowało, iak mu do wszystkich uciech życia tego srodze przeszkadzało? Bracie! ciebie i woysko francuzkie, iak wiesz opuściłem. — Od tey minuty; pomyślność uciekała przedemną. Zachciało mi się powrocić do miłey Oyczyzny, i do ziemi mych przodkow; o iak śliczne obrazy kreśliłem sobie, w owym słodyczy pełnym omamieniu; iak ia tam żyć, iak ia kochany Oyczyznie, z całych sił maiątkiem i życiem służyć miałem. —Nie ieden stary, i wkorzeniony przesąd poprawić, nie ieden głupstwa zabobon, w ciemney mgle wiekow kryiący się, z sromotą iego obalić zamyślałem.-Ach! komu własna spokoyność iest miłą, nieważ się dotykać ludzkich przesądow! Prześladowano mnie, celem zostałem pociskow nie nawiści, i grobey niewiadomości, wytrąbywano mnie, iako nie bespiecznego człowieka; dowcip ma, mowiono wszędzie, ale złe serce, martwiło mnie to, zamilkłem nic więcey nie ganiłem, chwaliłem wszystko, ubiega-

łem się za ufnością ludzi nadaremno. Nie mogli mi oni zapomnieć, żem kiedyś chciał bydź mędrszy od nich. Wszedłem sam w siebie, sam sobie wystarczyłem, i żyłem samotnie w srzodku stolicy; miłość atoli do kraiu, nie pozwoliła mi żyć długo w bezczynności. Poszedłem w woysko zrobiono mnie pod pułkownikiem, przez wzgląd, iż cokolwiek w rzemiośle woiennym przecwiczony byłem. Odprawiałem służbę punktualnie i gorliwie, bez nadskakiwania wyższym, bez wyciągania nadgrody. Pułkownik moy umiera, wielu bardzo podpułkownikow znaydowało sie, ktorzy dawniey odemnie służyli. Jednego z tych na wakuiący stopień oczekiwałem, i w tym razie, niebyłbym się w cale za pokrzywdzonego osądził. Bynaymniey, szef moy Pan maiętny, i wielkiey dla złota wziętości, pieścił uboku swego metressę, ta dalekiego miała krewnego, młodzika nie rostropnego i gapia, ktory ledwo od połroku mondur przyodział; ten został moim pułkownikiem. — Konsekwencya wypada, że abszeid moy żądałem, i otrzy-

małem. Żarcik ieden i drugi, nad wpływem Jeymości w rządy komendy, rozdraźniły tym bardziey pychę, przeszłego szefa moiego, byłby mnie zdeptał, i zgnębił, gdybyśmy w orientalnym iakim nie w wolnym żyli narodzie; a tak święta rowność szlachecka, wstrzymała przecię zapędy iego, przestawał na tym, iż mnie gdzie mogł, tam prześladował. Opuściłem wnet stolice, udawszy się na prowincyą; wszystko zrazu szło mi iak z spładka; znalazłem wnet przyiacioł, ktorzy mi się lizali, pieniądze z worka mego pożyczali i wino moie wypiiali; nakoniec znalazłem także i żonę, niewinne, cudowne stworzenie, w piętnastym ledwo roku wieku. — O iakem ią kochał! w ten czas byłem szczęśliwy. — Powiła mi syna i corkę, oboie natura pięknością matki upiętnowała; o iakem żonę i dzieci moie kochał! w ten czas, w ten czas byłem prawdziwie szczęśliwy (*oczy sobie ociera*) Patrz, oto, iescze łza iedna, anim się iey spodziewał. Witam was dawni przyiaciele! iużeśmy

się

się dawno nie widzieli. Słuchay, wnet zakończę w kilku słowach wiele nieszczęścia zawrzeć można. Jeden z przyiacioł moich, ktorego za podźciwego człowieka wziąłem, oszukał mnie, i połowę wydarł maiątku. Zniosłem ten cios, określiłem się w domu, kto z tego, co posiada kontent, mało potrzebuie, wnet inny ziawił się przyiaciel, młodzieniec, ktorego polubiłem, i kredytem moim podźwignąłem, ten podszedł zdradziecko żonę moią i umknął z nią, nie dosyć że na tym? Powiedz byś mi odstrychnienie się moie od ludzi, i od świata wybaczył? Czyliżem fantastyk, ktory milijonowe sobie w głowie trafy roi, kiedy nikt o nim nie myśli albo czyliżem ofiarą gwałtu cudzego? Dałby Bog! despota w kaydany tylko kuć może, i zabić, ale coż są kaydany i śmierć w porownaniu, z niewiernością nayukochańszey żony?

M a i o r.

Ktora ciebie niegodną była; wstydź się, grześć się dla dobrey żonki, iuż

iest nierostropnością, wylać zaś, i iedną łzę, dla złey żony, nazywam szaleństwem.

NIEZNAIOMY.

Nazyway sobie, iak ci się podoba; mow co ci się zdaie, serce nie idzie, za wielomownością rozumu. Ach! kocham ią ieszcze i dotąd.

MAIOR.

J gdziesz się teraz znayduie?

NIEZNAIOMY.

Niewiem, i widzieć niechcę.

MAIOR:

A dzieci twoie?

NIEZNAIOMY.

Zostawiłem ie tu w pobliskim miasteczku, u mieszczki wdowy iedney, ktora mi sie dość cnotliwą zdawała, bo głupią dosyć była.

MAIOR.

Już znowu satyra, znowu potwarz

na ludzkość. Czemużeś dzieci przysobie nie zatrzymał, byłyby ci nie iedną, długą skrociły godzinę.

NIEZNAIOMY.

Naco? żeby mi ich podobieństwo z matką codziennie widok utraconych uciech wskazywało? Nie; niewidziałem ich przez lat trzy, niechcę mieć nikogo około siebie, ni dziecka, ni starca. Dziecko wzrasta na złoczyńcę, starzec uzupełnionym iest zbrodniem; temu ktoregoś dopiero widział, dzieci moie powierzyłem, przywiązał się do mnie, i bywa umnie czasami. Lecz gdyby nie konieczna potrzeba, i tego bym odpędził, chociaż między złemi, nie iest naygorszy.

MAIOR.

Z tego wszystkiego com słyszał, stan małżeński obrzydnąć by mi powinien. Lecz przyiacielu, wszystko zależy od widoku, widzisz mnie, pałaiącego chęcią ożenienia się.

NIEZNAIOMY.

Ty się chcesz żenić, ha, ha, ha.

MAIOR.

Zobaczysz ią, poydź zemną; familia moia, oczekuie cię z upragnieniem.

NIEZNAIOMY.

Kto? Jabym znowu miał między ludźmi się tułać? Niedosyćże iuż iasno myśl moią wyłuszczyłem ci.

MAIOR.

Prawda, iednak byś wszelką delikatność sentymentu obraził, gdybyś przynaymniey na wieczerzą do szwagra mego nie przyszedł; wyświadczyć komu dobrodzieystwo, i nie wyciągać wdzięczności, pięknie to iest i szlachetnie, ale przed dziekczynieniem tak umyślnie uchodzić, żeby dobrodzieystwo drugiemu cieżarem zostało, iest to wierzaymi affektacyą martwiącą innych.

NIEZNAIOMY.

Do mniesz się to ściąga?

MAIOR.

Z serca wierzę, że nie wtym iesteś przypadku, gdyż znam cię dobrze, lecz uważ sam, co moi o tobie pomyślą. Piękne bywaią rzeczy na świecie, z ktoremi iednak za daleko zapędzać się nie trzeba.

NIEZNAIOMY.

Przyiacielu, bywaią też rzeczy na świecie, o ktorych łatwiey perorować można, aniżeli one wykonać. Gdybyś wiedział iak mi wstręt, każda twarz nie znaioma czyni, iak bym sto razy wolał na szpilkach siedzieć, a niżeli na poduszkowych krzesłach, wsrzod waszych koł eleganckich. O zostaw mnie, zostaw wspokoyności. Człowiek poczciwy szuka własne sobie utworzyć koło, ktoregoby punktem śrzedniem on sam był, tak i ia żądam poki ieszcze głos ptaka w tey tu da się słyszeć krzewinie, poty na towarzystwie zbywać mi nie będzie.

MAIOR.

Uczyń iutro, lub po iutrze, co ci się

podoba, ale spełniy dziś z nami kielich wina.

NIEZNAIOMY. (*zimno*)

Nie, nie.

MAIOR.

J w tedy nie? gdybyś iedną wizytą twoią, może był w stanie szczęście przyiaciela twego utwierdzić?

NIEZNAIOMY. (*z zastanowieniem*)

Na ten czas poszedłbym może, ale słucham, w czym by to takim?

MAIOR.

Musisz bydź swatem moim u Pani Betty.

NIEZNAIOMY.

Ja? Dobry przyiacielu, ieżeli przed czasem, do podobnych zleceń miałem potrzebne przymioty, iuż te oddawna zardzewiały.

MAIOR.

Nie, uważ, kocham rzetelnie; a mi-

łość moia, owocem iest szacunku. Doskonała kobieta, a kiedy przed nią stoię, o wszystkim z nią gadać mogę, procz tylko o moiey miłości. Taki ma wzrok w swych oczach, taki wzrok, ktory ięzyk wiąże. Siostra moia w prawdzie, moy interefs wzieła na siebie, lecz niewiem czyli się iey uda, pochwały iey, nadto się zdawać będą parcyalne. Ty przeciwnie .. twarzy tak wybladłey, tak kwaśniey, natychmiast się uwierzy. Przyiácielu gdybyś przed nią kilkoro cnotek moich, i dobrych skłonności, chciał wystrychnąć.

NIEZNAIOMY.

O toż znowu człowiek, ktory chce ábym oszukiwał.

MAIOR.

Żaklinam cię, idzie tu o dobro twego naywiernieyszego przyiaciela, postaram się dla ciebie, o sposobność mowienia z nią sam na sam.. Uczynisz to?

NIEZNAIOMY. (*po chwili*)

Uczynię ale pod warunkiem.

MAIOR.

Mow.

NIEZNAIOMY.

Żebyś mi bez sprzeciwienia się dozwolił z tąd wyiechać.

MAIOR.

Odiechać do kąd ?

NIEZNAIOMY.

Gdzie mnie oczy zaprowadzą miedzy ludzi, ktorzy mnie nieznaią.

MAIOR.

Uparty, zapamiętały !

NIEZNAIOMY.

Obiecuiesz ? Albo w cale nie poydę.

MAIOR.

Niech iuż tak będzie, obiecuię, może twoie wyobrażenia ze wschodem

słońca mniey będą posępne (*podaiąc mu rękę*) poydź więc zemną.

NIEZNAIOMY.

Muszę się przeciesz cokolwiek lepiey ubrać.

MAIOR.

Oczekuiemy cię zatym, za kwadrans dałeś mi słowo.

NIEZNAIOMY.

Dałem ie.

MAIOR.

Byway zdrow, czekamy cię wszyscy. (*odchodzi*)

SCENA III.

NIEZNAIOMY DOZORCA.

NIEZNAIOMY. (*przeszedłszy się kilka razy, głęboko zamyślony i ponury, stawa na koniec i woła.*)

Jest tam kto?

DOZORCA. (*nadbiega*)

Jestem.

NIEZNAIOMY.

Jutro iedziemy.

DOZORCA.

Jak się podoba.

NIEZNAIOMY.

Może w inszy kray iaki.

DOZORCA.

Idę za Panem.

NIEZNAIOMY.

Może i w inną część świata.

DOZORCA.

J tam go nie odstąpię.

NIEZNAIOMY.

Uciekaymy, z tego tu wypolerowanego, i moralnego więzienia. Słysysz iutro iak nayraniey; skarb naydroższy w tych stronach ukradziono mi, spokoyność; precz więc z tego tu siedliska dolegliwosci między nie znaiome twarze, do inney części świata. Może rozliczność widokow, uśmierzy ucisk moy wewnętrzny; może błądząc po piaskach, stopą chciwych Europeyczykow do tąd nie zwiedzionych, legniemy gdzie pod strzałami hordy iakiey dzikiey, a tak wszystko się razem zakończy; może po znoiach, trudach i niewczasach, trafiemy na reście na ląd iaki, gdzie wolny spoczynek, i szczęśliwość znaydziemy. Niechay o mnie ludzie co chcą gadaią, niech mówią żem zapalona i romansowa głowa, coż z tąd? Gardźmy niemi, uciekaymy odnich; o! iutro iak nayraniey pamiętay.

DOZORCA.

Bardzo dobrze.

NIEZNAIOMY.

Czekay ieszcze, wyznay szczerze, chceszli dzielić ze mną trudy podróżne? Mow może szczęścia twego, gdzie indziey szukać pragniesz, może obmierzłem iuż tobie.

DOZORCA.

J owszem szczęśliwy będę, ieżeli pozwolisz Panie towarzyszyć sobie.

NIEZNAIOMY.

Dobrze więc, teraz tylko ieszcze iedna mała praca zostaie dla ciebie. Pośpieszay do pobliskiego miasta i przywieź z sobą dzieci moie; przed zachodem słońca możesz bydź z powrotem.

DOZORCA.

Po tak długim nie widzeniu, znowu ie tedy zobaczysz.

NIEZNAIOMY.

Zobaczę.

DOZORCA.

Czemużeś ie Pan do tych czas widzieć niechciał?

NIEZNAIOMY.

Spiesz się, spiesz nie obarczay mnie nie potrzebnemi pytaniami.

DOZORCA.

Jdę iuż idę, uwinę się iako nayspiesznicy.

SCENA IV.

NIEZNAIOMY SAM.

Wezmę ie z soba, przyzwyczaię się patrzeć na nie. Niechce żeby tak niewinne stworzenia, strute zostały iadem złego obcowania; sam te młode la-

torośle pielęgnować będę; wolę raczey, żeby sobie na iakiey odludney wyspie, łukiem i strzałą pokarm codzienny zapolowali albo iak Hottentoci w kąd iaki w tłoczywszy się, końcowi nosow swoich przypatrywali się; lepiey iest nic nie robić, a niżeli złe. O! iak nieroztropny byłem dzisiay; pozwolić tak twardą na sobie wymusić obietnicę, ieszcze raz między ludzi, między te małpie tworze; pokazać się? A do tego iak swat, ha, ha, ha. Niech i tak będzie tyle iuż ucierpiałem, za coż niemam dla przyiaciela iedną złą godzinę więcey w kalendarz życia mego zapisać? (*odchodzi*)

SCENA. V.

Pokoy w Pałacu.

CIEMNOWIDZ i JAKOB.

CIEMNOWIDZ.

Poydzie podobno z wiatrem moy proiekt.

JAKOB.

Jaki?

CIEMNOWIDZ.

Ciebie się tycze Pani Betty, nadto coś nosa wysoko zadziera,

JAKOB.

J coż z tego?

CIEMNOWIDZ.

O to że tobą pewnikiem wzgardzi.

JAKOB.

Jak to wzgardzi?

CIEMNOWIDZ.

Mieć ciebie nie będzie chciała.

JAKOB.

Dla czego? moy oycze.

CIEMNOWIDZ.

Mało ieszcze widzisz moy synu.

JAKOB.

Ja widzę tyle, co i WPan oycze.

CIEMNOWIDZ.

Ten Pan Maior zdami się, że iey wprzod w oczy, a iak pomiarkowałem, to by go Jeymość, wysokie tony lubiąca z niczym nie odesłała.

JAKOB.

Kiedy tak rozumiem, ale ktoż tego iest przyczyną?

CIEMNOWIDZ.

Państwo nasze. Piękniesz to było dzisiay na Pana Jenerała? Ledwo co za prog przeszedł, leci obces na nią, a żeby ią uścisnął, właśnie iak gdyby rowienniczką iego była. To samo i Pani Jenerałowa obiaduie z Państwem, chodzi na spacer z Państem, i teraz o to siedzi w ich gronie, przy herbatnym stoliku; iak to niema w humor wprawiać Panią Betty.

JAKOB. (*ktory nadchodzącego Maiora widzi.*)

Cicho.

SCE-

SCENA VI.

MAIOR CIŻ SAMI.

M a i o r. (*ktory w chodząc nazwisko szłyszy Pani Betty.*)

Coż to? zdaiemi się że tu była mowa o Pani Betty.

C i e m n o w i d z, (*zagadniony*)

Tak, quasi tak, i była, i niebyła.

M a i o r.

Jakobie, idź i powiedz siostrze moiey, iż życzyłbym sobie mowić z nią, iak herbatę zdeymą zestołu.

J a k o b. (*odchodzi.*)

M a i o r.

Moznaź się dowiedzieć, o czym była mowa?

C i e m n o w i d z.

Mowiliśmy tak i owak, o tym i o o-

wym. Jam mowił do syna moiego, że każdy człowiek ma swoie wady, a on odpowiedział mi, prawda.

M A I O R.

Maż to bydź wstępem do błędow i słabości Pani Betty, ciekawy iestem więcey się dowiedzieć.

C I E M N O W I D Z.

Tak to niby Pani ta iest zaprawdę, arcy dobra kobieta, ale iednak nie iest aniołem iako staremu, i przywiązanemu słudze dworu Pana Jenerała, powinnością bydź moią sądzę, wszystko Państwu doucha poszepnąć, co tylko dochodom iaki uszczerbek, lub stratę przynosi.

M A I O R. (*ciekawie.*)

J coż tedy.

C I E M N O W I D Z.

Pan Jenerał, naprzykład będzie rozumiał, iż on tam ieszcze ma w piwnicy 40. lub 50. butelek owego starego węgrzyna, co to Pan Dobrodziey, zna

także bez wątpienia, tak niech na niego apetyt nie ostrzy, ledwo 10. albo 15. ieszcze bydź może. Po moim ięzyku, gotowem przysiądz, i kropla iedna nie spłyneła, nawet w uroczyste święta.

M a i o r. (*z uśmiechem.*)

Pani Betty, pewnie go też nie wypiła.

C i e m n o w i d z.

Ona sama, zapewnie że nie, bo nie piie wina, ale niech że na wsi chory iaki się znaydzie, ktoryby się iednym łykiem gorzałki mogł pokrzepić; ona mu natychmiast, butelkę tego, tak przedniego wina posyła. Czyniłem iey nad tym pokilkokrotnie reflexye, ale ona zawsze mi krotko, i zwięzle odpowiada. Już ia sama odpowiem.

M a i o r.

J ia kochany Panie ekonomie.

C i e m n o w i d z.

Mnieysza oto, mnie to mało obchodzi.

Przez dwadzieścia lat zarządzałem piwnicą a żaden ubogi i kropli wina odemnie nie dostał, ale Pani Betty kiedy z iedney strony rozruca, z drugiey znowu nie dorzecznie oszczędza: słuchay Pan tylko, gdym roku przeszłego list z Węgier odebrał, w ktorem mi dobycie szturmem fortecy novi przez feldmarszałka Laudona doniesiono, chciałem, iako bywszy niegdyś zołnierz Cesarski, nad pobiciem zaciętych pogan, wesołość moię okazać, był u mnie właśnie xiądz pleban, i altarysta, chciałem z niemi w radości serca, parę butelek owego to wina wyciągnąć; wystaw sobie WPan Dobrodziey, podłym mnie francuzkim winem odprawiła.

M a i o r.

Rzecz niesłychana!

C i e m n o w i d z.

Słowem, nie można wcale z tey kobiety bydź mądrym, my się wprawdzie dosyć dobrze z sobą znosiemy, gdyż mo-

wiąc między nami Mci Panie Maiorze, rzuciła oko na moiego Jakoba.

MAIOR. (*z uśmiechem*)

Doprawdy ?

CIEMNOWIDZ.

Oh! moy Jakob, miluchny chłopczyna, uczył się pisać u bakałarza, ieśliby W. Panu chciało się widzieć probke charakteru, pokaże natychmiast, maluie litery, że lepiey nie można.

MAIOR.

Na inny raz kochany Panie Ciemnowidz, na inny raz, teraz kłaniam się WPanu (*Ciemnowidz kłania się nie odchodząc, Maior zaś przeziera w książce, ktorą na stoliku znalazł.*) Znayduię tu bardzo interesuiącą książkę, prawdziwie muszę ią przeczytać, byway WPan zdrow.

CIEMNOWIDZ. (*niedomyślaiąc się chęci Maiora.*)

Uniżony sługa.

M a i o r.

Panie ekonomie, chciałbym się sam zostać.

C i e m n o w i d z.

Wychodzę na rozkazy łaskawego Pana. Gdyby Panu czas był kiedy przydługi, a Pan sobie życzył, nayświeższe, i naynowsze o woynie, i pokoiu wiedzieć nowiny, racz się Pan, do mnie tylko udać ia miewam listy.

M a i o r.

Dobrze, dobrze.

C i e m n o w i d z. (*odchodząc z wielu ukłonami.*)

Miewam listy z Bannatu, listy z granicy Tureckiey, listy z Rofsyi, listy z Paryża, i z Chin nawet. (*odchodzi*)

M a i o r.

Nie znośny gaduła; ale że naywięcey o Pani Betty wspominał, chętnie wielemowstwo iego, przebaczam mu.

SCENA VII.

MAIOR i JENERAŁOWA.

JENERAŁOWA.

Dalibog ci, rozkochani rozumieią, iż się głodu, i pragnienia nie zna, bo się sami rożową wonnością i xiężycowym światłem nasycaią. Ledwo co filiżankę herbaty wypiłam, a iużci Pan brat, wołać mnie każe, i cóż się znowu ma do rozkazania?

MAIOR.

Czy możesz się pytać? Mowiłażeś z nią?

JENERAŁOWA.

Tak iest.

MAIOR.

Więc. . . .

JENERAŁOWA.

Nic.

MAIOR.

Nic?

JENERAŁOWA.

To się znaczy, że ieżeli Pan brat, innego nie poszuka portu będzie musiał, aż do schyłku życia, na otwartym błądzić morzu.

MAIOR.

Jestli zaślubioną?

JENERAŁOWA.

Niewiem.

MAIOR.

Jestli dobrego urodzenia?

JENERAŁOWA.

Powiedzieć tego niemogę.

MAIOR.

Może mnie nie cierpi.

JENERAŁOWA,

Na to muszę ci zostać winną odpowiedź.

MAIOR.

Mocno zdziwiony iestem, nad twym siostrzyńskiem przywiązaniem, przykładnym iest wcale. Dobrze że odpoczątku nie barazo się na nim fundowałem; dobrze iż przyiaciela znalazłem, ktory Panią siostrę zawstydzi.

JENERAŁOWA.

Przyiaciela?

MAIOR.

Do usług, Nieznaiomy, ktory dzisiay mężowi twemu życie poratował, iest moy dawny przyiaciel.

JENERAŁOWA.

Jak się nazywa.

MAIOR.

Nie wiem.

JENERAŁOWA.

Jestli dobrego urodzenia?

MAIOR.

Powiedzieć tego nie mogę.

JENERAŁOWA.

Czy nadeydzie tutay?

MAIOR.

Na to muszę ci winnym zostać odpowiedź.

JENERAŁOWA.

Nie znośny iesteś.

MAIOR.

A ha! zacoż własny twoy koncept niechcesz słyszeć da capo?

SCENA VIII.

JENERAŁ, JENERAŁOWA, ELEONORA i MAIOR.

JENERAŁ.

Coż się to ma znaczyć? coż wy to o mnie wszyscy rozumicie? Zawsze mnie samego z Panią Betty zostawuią a nie-

pamiętaią nato, iż serce moie, dalibog, nie iest z krzemienia; powtarzam WPani, Pani małżonko, ieżeli się, tak ieszcze raz stanie, to iuż mam inpetto deklaracyą miłości.

JENERAŁOWA.

Zapewne od kamerdynera uproiektowaną?

JENERAŁ.

Wybacz moia kochana, pożyczana z iednego z podchwyconych iey miłośnych bilecikow.

JENERAŁOWA.

Więc iednak zawsze pożyczaną, tego się spodziewałam.

JENERAŁ.

Bynaymniey, ieżeli chcesz wiedzieć? Nareście, wypisaną z cukrowanego liściku, ktorys odemnie przed laty dziesięciu odebrała w klasztorze.

JENERAŁOWA.

Powtornie zatym, tych samych wy-

rezow chcesz użyć? To się nazywa dobra ekonomika, więc tedy nic nowego powiedzieć nie umiesz.

JENERAŁ.

Boś mnie WPani iuż wyczyrpała.

JENERAŁOWA.

Smutne wyznanie, w przytomności nowey swoiey kochanki.

JENERAŁ.

Przeklęta kobieto iuż więcey z tobą nie zacznę. Panie szwagrze, iakże? przyydzie ow Nieznaiomy.

MAIOR.

Co chwila spodziewam go się.

JENERAŁ.

Brawo, znowu nowy gość do naszego; towarzystwa, na wsi nie można ich nigdy mieć nadto.

MAIOR.

Nieznaiomy ten, nie bardzo zgroma-

dzenie nasze powiększy iutro rano wyieżdza.

J e n e r a ł.

Może mu ta ochota minie, iak zobaczy te twarzyczki; teraz Pani małżonko, teraz wszystkie wdzięki należy nastroić razem, nie wielka sztuka ocierać się, o starego iak ia małżonka, iuż ten aż nadto iest wywecowany; ale tak osobliwszy dziwak, oy, ostre kolce mieć musi; tam WPani po kołatay, tam....

J e n e r a ł o w a.

Prawda, podobne odnieść zwycięztwo, zasługuie na nayusilnieysze starania. Lecz skoro Pani Betty przez cztery miesiące nic nie dokazała, coż ia dokazać potrafię?

E l e o n o r a. (*żartobliwie*)

Łaskawa Pani, niemiałam nigdy sposobności uięcia go powabami memi, prawdziwie, przez te cztery miesiące spiritualne było nasze obcowanie; bośmy się i razu iednego nie widzieli.

J e n e r a ł.

On dziwak, a WPani dziwaczka.

C i e m n o w i d z. (*w biega*)

Nieznaiomy Pan, życzy sobie mieć honor służenia Państwu.

J e n e r a ł.

Z serca, witam prosić go, niech nadeydzie.

SCENA IX.

N i e z n a i o m y. (*wstępuie do izby, z surowym weyrzeniem, i ukłonem.*)

J e n e r a ł. (*idzie na przeciw z otwartemi rękami.*)

E l e o n o r a. (*spoziera na niego, głośny wrzask wydaie i omdlewa.*)

Nieba!

N i e z n a i o m y. (*rzuca na nią oko, strach i podziwienie widać w twarzy iego, gesta nayżywsze, okazuią pomieszanie, wybiega z izby szypko.*)

J e n e r a ł o w a. i M a i o r. (*krzątaią się około Eleonory.*) zasłona spada.

AKT V.

Pokoy w Pałacu.

SCENA PIERWSZA

JENERAŁ SAM (*przechodzi się i muchy zabiia.*)

Niegdyś na ludzi w pole wyciągałem, teraz na muchy dzisieyszą kompanią z nudoty wprawdzie otwieram, iak zwyczaynie Panowie czynić zwykli, kiedy nic lepszego przedsięwziąść nie umieią. cesarz Domician zabiiał także muchy, tak dobrze, iak i ia, z czego cały świat się śmieie; ale że cesarz Karol wielki, ludzi zabiiał iak muchy, dla tego, że nie tak modlić się chcieli iak on, z tego nikt się nie śmieie, iednakże to moim zdaniem bardzo iest śmieszne. Dobry Dominicyanie, popioły twoie spo-

czywaią w pokoiu, dusze ubitych much, nie napastuię ciebie. Błogosławiony ten Cesarz, ktory bez ambicyi w zakądku swoim siedzi, ludzi uszczęśliwia i muchy tylko zabiia.

SCENA. II.

JENERAŁ CIEMNOWIDZ.

CIEMNOWIDZ.

Mam honor zameldować J.W. Panu i Dobrodzieiowi że iedzenie na stole.

JENERAŁ.

Moy kochany, żebyś ty mi tam ieszcze na stoł, dwadzieścia pułmiskow naysmacznieyszych potraw postawił, nie wzbudzisz we mnie apetytu, poki mi go wprzod ludźmi nie obsadzisz. Spać sam ieden mogę z potrzeby, ale ieść sam żadną miarą niemogę; im więcey ludzi w oko-

w około mnie siedzi, im ogromniey pożeraią tym lepiey i mnie smakuie.

CIEMNOWIDZ.

W tym przypadku, mogę śmiało J. Wielmożnemu Panu Jakoba moiego zarekomendować, ten żre, iak gdyby z potrawami połmiski chciał po połykać.

JENERAŁ.

Gdziesz się bawią nasi? Pani Betty czy przyszła iuż do siebie? czy nie?

CIEMNOWIDZ.

Jak przechodząc koło drzwi, przez dziurkę zamkową do słyszeć mogłem, to iuż musiała przyść do siebie. Co też to tam było hałasu, wiele biegania? to po pachniącą wodkę, to po spirytus, to po biały proszek, to po to, to po owo; ludzie wszyscy poszaleli prawie; parę dzbanow zimney wody, wylać na głowę, to podług moiego sposobu leczenia, nayskuteczznieyszym iest lekarstwem, na wszelkie mdłości. Dziwuię się tylko nad J. Wielmożną Jeymość

Panią Jenerałową i Wielmożnym Jmci Panem Maiorem. Z taką troskliwością około niey się krzątaią, iak gdyby ta kobiecina do wysokiey familii J. Wielmożnego Pana należała.

J e n e r a ł. (*z uśmiechem.*)

Ktoż to wie ?

C i e m n o w i d z.

Na poczciwość, mnie się zdaie, iż gdyby kiedy podobny casus zdarzył się staremu i wiernenu słudze, ktory iuż lat 20. ma szczęście służenia J. Wielmożnemu Panu, żeby nieborak zemdlał, i połowa by tego niepowstała hałasu.

J e n e r a ł.

J mnie się też właśnie tak zdaie.

C i e m n o w i d z.

A nikt iednak do tych czas, nie wie, kto iest ta kobieta; pisałem listy na listy, odbierałem odpowiedzie na odpowiedzie, a nikt z moich korrespondentow wiadomości mi dać nie może.

JENERAŁ.

Wiesz waść co? Ja ci dam dobrą radę.

CIEMNOWIDZ. (*bardzo chciwie.*)

Słucham Panie dobrodzieiu?

JENERAŁ.

Z dzisieyszego zdarzenia ciągnę wniosek, iż Pani Betty i ow Nieznaiomy dosyć się dobrze znać muszą; żebyś waść tylko o tym Nieznaiomym pewnieyszych mogł dosięgnąć informacyy, to w ten czas.

CIEMNOWIDZ. (*z ubolewaniem.*)

Ach! nayłaskawszy Panie czyliż dla tego pracy sobie nie wysłowioney na kark nie włożyłem; od czterech miesięcy, całe moie myślenie, i szperanie, nad tym ważnym zastanawia się punktem; ale to tam ciemność Egipska, nieprzeyrzany obłok, hieroglif nie docieczony. A mowiąc bez samochwalstwa, co ia na dzień iasney nie wydobę-

dę, w naygłębszych skrytościach musi bydź zagrzebanym na wieki; liczę korrespondentow i w prawo i w lewo listami moiemi dosięgam wszędzie, a kiedy.

JENERAŁ.

Tak tak, a kiedy waść listow żadnych niemasz, to ie na ten czas sam zmyślasz.

CIEMNOWIDZ.

Między nami mowiąc, prawda i to iest J. Wielmożny Jenerale; ale coż, korrespondenci, częstokroć bywaią prożniacy.

SCENA III.

MAIOR CIŻ SAMI.

JENERAŁ.

Otoż, przecię nadchodzi choć ieden, ktory mi do stołu towarzyszyć będzie;

ale co to znowu za twarz tragiczna? Podź WPan Szwagrze, kielich szampana łykniemy na trwogę.

MAIOR.

Wybacz WPan, ani ieść, ani pić nie chcę.

JENERAŁ.

Słuchay Maiorze; między wielu rzeczami na tym świecie, naybardziey tego cierpieć nie mogę, kiedy w domu moim wszyscy nie są weseli i ochotni. Gdybym był krolem, uczyniłbym wszystkich poddanych szczęśliwemi, ileby w siłach moich było; kogo bym zaś nie mogł uczynić szczęśliwym ten by musiał za granicę ustąpić.

MAIOR.

Więcbyś WPan ludzi szczęśliwemi dla tego czynił, żebyś smutnych twarz w około siebie nie widział.

JENERAŁ.

Nie inaczey.

MAIOR.

To maxyma bardzo egoizmem trącąca,

JENERAŁ.

Ach! kochany szwagierku, egoistami wszyscy iesteśmy; ten mniey, ow więcey; ten egoizmowi swemu nago biegać pozwala, a ow mu płaszczyk przypina.

MAIOR.

Ja teraz nie iestem w humorze dysputowania z WPanem.

JENERAŁ.

Na inszy więc raz odłożemy; apropo, coż się z Panią Betty dzieie?

MAIOR.

Apropo? miluchne apropo.

JENERAŁ.

No, to więc, bez a propo, iakże się ma?

MAIOR.

Już się iey polepszyło.

JENERAŁ.

A przyydzie do stołu?

MAIOR.

Nie.

JENERAŁ.

A żona moia?

MAIOR.

Wątpię.

JENERAŁ.

Więc niech was wszystkich głod zamorzy. Podź waść Ciemnowidz będziesz mi przy iedzeniu, kilka listow twoich czytał.

CIEMNOWIDZ.

Z naywiększym ukontentowaniem J. Wielmożny Panie (*odchodzą.*)

SCENA. IV.

MAIOR SAM (*po małey pauzie.*)

O łudzące nadzieie! obrazy błogosławioney przyszłości! wyciągam ku wam ręce, a wy znikacie iak cienie. Już rozwiązaną została zagadka; żoną iest przyiaciela mego; dobrze więc nie zimną słow rozprawą, uczynkiem pragnę okazać to, o czym szwagier moy, tak mocno deklamował; bydź sam szczęśliwym nie mogę, lecz iest może w mocy moiey, dwie piękne dusze, rzadkim pogodzić poiednaniem; dusze ktore los zdradziecko rozerwał. Powstań Prawdzicki, małe i słabe umysły, płaczą nad spełznionemi układami; ale mąż wyżey myślą sięgaiący, szlachetnym męztwem przezwycięża słabość, ktora go chce przygnieść do ziemi.

SCENA V.

JENERAŁOWA, ELEONORA, MAIOR.

JENERAŁOWA.

Wydźmy luba przyiaciołko, na świerze powietrze do zwierzyńca.

ELEONORA.

Zupełnie zdrowa iestem; żebyś się tylko WPani Dobrodzieyka o mnie tak czule, niechciała frasować, żebyś mnie raczey samą zostawiła.

MAIOR.

Nie, Pani moia, czas iest drogi, mąż iey iutro odiechać zamyśla. Pomyślemy wspolnie o srzodkach poiednania ią z zacnym małżonkiem.

ELEONORA.

Jakto? Mości Panie Maiorze? zdaie się iż WPan, o dzieiach życia moiego uwiadomiony iuż iesteś,

MAIOR.

Tak iest, iestem o wszystkim uwiadomiony. Zacniewski od pierwszych lat młodości, był przyiacielem moim, obydway razem w woysku służyliśmy; od lat siedmiu byliśmy rozłączeni, trafunek znowu nas dzisiay na iedno zaprowadził mieysce, i serce iego otworzyło się przedemną.

ELEONORA.

Teraz to, teraz dopiero, naydotkliwiey czuię, co to iest nie bydź w stanie zniesienia wzroku uczciwego człowieka. O przezacna Jenerałowo! ukryy mnie przedemną samą (*zakrywa twarz swoią na łonie Jenerałowey.*)

MAIOR.

Ieżeli żal nie zmyslony, i życie bez skazy, na przebaczenie u ludzi zasługiwać nie maią, w cożby się nadal nasze obrociły nadzieie ? Nie, iużeś WPani dosyć wycierpiała. Występna zdrożność, na chwilę tylko zasypiaiącey cnocie panowanie w sercu iey wyrwała;

przebudzona cnota, iednego tylko spoyrzenia potrzebowała, aby ią z tamtąd wystraszyć; znam przyiaciela mego, myśli mocno iak mąż; czuie delikatnie, iak WPani; spieszę do niego iako iey pełnomocnik; zagrzany ogniem przyiaźni, dzieło moie rozpocznę, abym ieżeli kiedy, na bieg życia mego wstecz spoyrzę, nad dobrym iakim mogł się zatrzymać uczynkiem, ktory by mi w starości radość, i ukontentowanie przynosił. Do zobaczenia (*chce odeyść.*)

ELEONORA.

Coż WPan znowu chcesz czynić Mości Panie Maiorze; nie, nigdy a nigdy, na to nie pozwolę, honor małżonka mego święty iest dla mnie; kocham go nie wymownie, ale nigdy bydź znowu iego żoną nie mogę, nawet gdyby chciał bydź tak dalece wspaniałomyślnym, i chciał mi przebaczyć,

MAIOR.

Czy w samey rzeczy tak WPáni myślisz?

ELEONORA.

Proszę WPana oszczędzić mi więcey pytania; nie iestem dziecięciem, ktore się kary lęka.

JENERAŁOWA.

Ale kiedy małżonek WPani sam zechce.

ELEONORA.

Nie uczyni tego; nie może tego uczynić.

MAIOR.

Ale kocha ią ieszcze.

ELEONORA.

Nie powinien, nie morze. Musi serce swoie od podobney oswobodzić słabości, ktora go pohańbia i płami.

MAIOR.

Nie wyrozumiana kobieto; więc tedy WPani żadnego dać mi niechcesz zlecenia?

E L E O N O R A.

Mości Panie Maiorze dwie tylko mam proźby, ktorych dopełnienie bardzo mi cięży na sercu (*głosem zmiękczonym*) Częstokroć kiedy w nadmiarze frasunku mego, o naymnieyszey powątpiewałem pociesze, stawało mi w myśli, żebym w tedy dopiero spokoynieyszą umarła, kiedybymi losy pozwoliły oglądać męża moiego; raz ieszcze przed zgonem, wyznać przed nim błędy moie, a potym na wieki oddalić się od niego. To więc iest pierwsza proźba moia; rozmowy minut kilku niechay mi pozwoli, ale niech sobie bynaymniey nie wroży, żebym naydrobnieyszey pragneła chwycić się sprężyny, ku pozyskaniu przebaczenia iego;niech sobie nie wystawia, iż honor moy, z uszczerbkiem sławy imienia iego podzwignąć zamyślam. Drugą proźbą moią iest, uwiadomienie mnie o dzieciach moich.

M A I O R.

Jeżeli ludzkość i przyiaźń cokolwiek nad nim mogą, zapewne i momontu nie

opuści zadosyć uczynienia iey woli; (*kłaniaiąc się*) spieszę do niego.

JENERAŁOWA

Jdzmy za nim, usiądziemy pod cieniem w zwierzyńcu czekaiąc, aż zdobrą nadzieią i pociechą powroci.

ELEONORA.

O iak się ta rozliczność zdarzeń w sercu moim teraz krzyżuie; tu moy mąż, tam moie dziatki; tu znikłe roskosze i trwoga przyszłości; tam macierzeński affekt, i chęć dziatek oglądania. Ach! bywaią na świecie takie momenta, w ktorych się roki przeżyie; momenta ktore włos czarny, zdolne są zmienic na biały, i głębokie marszcki wyryć na czole, na ktorymby młodość kwitnąć powinna.

JENERAŁOWA.

To znaczy, że frasunek niszczy potężniey, niżeli wiek i starość; ale podobnym chwilom, zdrogi uchodzić należy; oddalmy się z tąd, idźmy za nim; przeydzmy się nieco, wkrotce i słońce

zaydzie; podobny widok natury, rozwesela.

E L E O N O R A.

Prawda; zachodzące słońce miłym iest widowiskiem dla nieszczęśliwych.

J E N E R A Ł O W A. (*odchodząc z Eleonorą.*

Ktorzy iednak nadchodzącego poranku nigdy zapominać nie powinni. (*odchodzą.*)

SCENA VI.

Teatr się odmienia tak iak na początku 4. aktu.

MAIOR SAM.

Pod słońcem iedna tylko iest para taka. Już dłużey rozłączeni bydź nie powinni; musi iey wybaczyć; ale rola, ktorą grać przedsięwziołem, nie iest

tak łatwą iak zrazu mniemałem; iakże mu odpowiem kiedy mi bałwan honoru wystawiać będzie; kiedy mnie spyta, czyli go na pośmiewiska i natrzęsania wystawiać pragnę? Coż mu odpowiem? przeciwko własnemu moiemu i powszechnemu przekonaniu? Boć w istocie prawdę mowić będzie, żona wiarę poprzysiężoną małżonkowi łamiąca, zakałem iest płci swoiey, przebaczyć takiey, iest chcieć hańbę iey dzielić; ale ieszcze ona w sercu iego panuie, i na tym ia panowaniu, szczęśliwy koniec przedsięwzięcia moiego zakładam, to iest poiednanie ich z sobą.

SCENA VII.

DOZORCA (*z dziecmi*) OLEŚ, WIKTOSIA. MAIOR.

OLEŚ.

Zmordowałem się.

WIKTO

WIKTOSIA.

J ia także.

OLEŚ.

Daleko ieszcze do domu?

DOZORCA.

Zaraz w nim będziemy.

MAIOR.

Stoy! czyie to dzieci?

DOZORCA.

Dzieci Pana mego.

OLEŚ.

A czy to nasz oyciec?

MAIOR.

Słowko przyiacielu; wiem iż kochasz Pana twoiego, po twoim odieżdzie, cudowne tutay nadarzyły się rzeczy.

DOZORCA.

Naprzykład.

MAIOR.

Pan twoy małżonkę swoią znalazł.

DOZORCA.

Ach iak! mnie to cieszy.

MAIOR.

Pani Betty.

DOZORCA.

Jest' może iego żoną? Tym serdeczniey się raduię. . . .

MAIOR,

Ale chce się od niey oddalić, chce ią porzucić.

DOŻORCA.

Przebog!

MAIOR.

Trzeba więc temu zapobiedz.

DOZORCA.

Bez wątpienia.

MAIOR.

Niespodziewany widok dzieci, możeby tey rzeczy inny dał pozor i obrot.

DOZORCA.

W iakisz więc sposob?

MAIOR.

Weź malutkie, i skryy się z niemi, w tey tam chałupce nim pòłgodziny minie, więcey dowiesz się.

DOZORCA.

Ale.

MAIOR.

Proszę cię nie pytay wiele, czas nad to drogi.

DOZORCA.

Dobrze, dobrze. Podźcie dzieci. (*odchodzi z niemi do chałupy.*)

MAIOR.

Wybornie mały ten wybieg, wiele

dobrego mi obiecuie tam gdzie płacz pokorny, matki przeniknąć nie zdoła, tam uśmiech niewinnych dzieciąt, drogę utoruie do serca.

SCENA VIII.

NIEZNAIOMY MAIOR.

MAIOR. (*idąc na przeciwko.*)

Winszuię ci szczęścia Zacniewski.

NIEZNAIOMY.

Jakiego, wczym?

MAIOR.

Znalazłeś ią.

NIEZNAIOMY.

Wskasz ubogiemu, skarb, ktory niegdyś posiadał i nazwiy go szczęśliwym, będziesz to rozsądnie?

MAIOR.

Czemu nie, skoro tylko od niego za-

leżeć może bydź tak powtornie bogatym iák niegdyś.

NIEZNAIOMY.

Rozumiem, posłańcem żony moiey iesteś; nic z tego nie będzie.

MAIOR.

Naucz się lepiey, sądzić o twey małżonce. Tak iestem posłańcem od niey, ale bez naymnieyszey mocy zawarcia pokoiu; ona ktora cię nie wymownie kocha, ktora bez ciebie nigdy szczęśliwą bydź nie może i niebędzie, ona zrzeka się przebaczenia twoiego, bowiem tak się tłomaczy: honor twoy, z podobną słabością zgodzić się nie może, a zatym....

NIEZNAIOMY.

Żarciki, mnie się nie złowi.

MAIOR.

Zacniewski, namyśl się dobrze, osobliwsza kobieta.

NIEZNAIOMY.

Przyiacielu, chceszli żebym ci rze-

telnie opowiedział iak wszystko, iedno z drugim iest połączone? Od czterech miesięcy mieszkam tutay wiedziała otym Eleonora.

M a i o r.

Wiedziała o tym,ale dzisiay pierwszy cię dopiero raz zobaczyła.

N i e z n a i o m y.

Niech tym głupiego uwodzi; słuchay daley. Wiedziała przytym bardzo dobrze, że nie iestem łatwym do oszukania, subtelny przeto i głeboko utaiony, że tak rzekę spisek na mnie uknowała; udawała dobroczynną, tak iednak, że się zawsze o wszystkim dowiedzieć musiałem; udawała, pokorną, obyczayną, samotną, aby wzbudzić ciekawość moią i na koniec dzisiay udaie hardą, odrzuca niby przebaczenie moie, aby mi tą krztałtną, figlarną wspaniałomyślnością poiednanie, ktorym niby gardzi wywabić.

M a i o r.

Przyiacielu! słuchałem cię z zadzi-

wieniem nie małym; człowiekowi tylko ktory tak często na świecie oszukany został, wybaczyć można takie niedowiarstwo; szkoda tylko, że tę całą tak przemyślną i paięczą budowę twoiey głowy i naymnieyszey wiatrek obalić może. Żona twoia wyraźnie, i z stałością oświadczyła, iż przebaczenia twego nie przyymie, i na ten czas nawet nie przyymie, gdybyś sam tak daleko był słabym i chciał miłości honor poświęcić. Do czegoż za tym ow głęboko utaiony spiek? Mowiąc po szczeremu, podobną machineryą chyba twoia podeyrzliwa głowa ułożyć mogła.

NIEZNAIOMY.

Powiedz mi więc przynaymniey, dla czego nareście tu się znayduiesz?

MAIOR.

Dla więcey, niż iedney przyczyny. Nayprzod własnym moim imieniem iako przyiaciel dawnego mego wspolnika na woynie, przychodzę zakląć cię uroczyście, abyś małżonkę tę nie odpychał

od siebie albowiem Bòg świadkiem, nie znaydziesz nigdy iey podobney.

NIEZNAIOMY.

Nie zadaway sobie pracy daremney.

MAIOR.

Mowmy rzetelnie; kochasz ią iesz-cze ?

NIEZNAIOMY.

Na moie nieszczęście!

MAIOR.

Jey niezmyślona skrucha, iuż dawno zagładziła iey przewinienie; coż cię wstrzymuie, abyś znowu tak był szczęśliwy, iak dawniey?

NIEZNAIOMY.

Niewiasta, ktora raz śluby małżonkowi potargać odważyła się, łatwo i drugi raz zbrodnią popełnić może.

MAIOR.

Nie tak myśli Eleonora. Daruy,

ieżeli naywiększą część iey zapomnienia się, na ciebie samego zwalę.

NIEZNAIOMY.

Na mnie?

MAIOR.

Na ciebie, ktoż ci kazał, zaślubiać, tak młodą i nie dochowaną Panienkę. Od męża lat 25. liczącego, ledwo pewnych żąda się prawideł, a ty ich szukałeś w stworzeniu kobiecym lat 14. maiącym? Ale nie mowmy o tym, zbłądziła, żałowała iuż dosyć, i wprzeciągu lat trzech, tak się nie nagannie sprawowała, że i nayczarnieysza obmowa przez swoie szkło powiekszaiace, żadney w tym słońcu skazy nie odkryie.

NIEZNAIOMY.

J gdybym nawet temu wszystkiemu uwierzył, iednakże bydź znowu moią powtornie nie może (*gorzko*) ha, ha, ha. toby to właśnie był przysmaczek, dla owych ufarbowanych kobietek, dla owych światowych kobietek, gdybym znowu z żoną moią uboku w posiedze-

niach ich się pokazał. O! iakby mnie wyśmiewać, do uszow sobie szeptać, palcami na mnie wskazywać zaczeły; o! śliczny by to był widok, gorszy od piekła samego.

MAIOR.

Tego więc nudnego towarzystwa odrzyć się, nie będzie pewnie przyiaciela mego, i iedno westchnienie kosztowało. Zdaie mi się że kto sobie przez trzy lata ciągle sam umiał wystarczyć ten u boku maiąc Eleonorę smiało życie swoie samotności oddać potrafi.

NIEZNAIOMY.

Domyslam się, spisek na mnie ukleiliście; zprzysięgliście się z sercem moim na przeciw głowie moiey, ale na prożno; proszę cię Prawdzicki i słowa więcey, albo poydę.

MAIOR.

Dobrze, dopełniłem przynaymniey, iako przyiaciel obowiązku moiego. Teraz stawam przed tobą iako posłaniec od twoiey żony, uprasza cię

o ostatnie słow kilka, chce wziąść od ciebie pożegnanie na wieki. Tey pociechy odmowić iey nie możesz.

NIEZNAIOMY.

O! i w tym ukryte sidła spostrzegam. Podchlebiam sobie myśląc iż stałość moia przed iey łzami stopnieie, ale myli się; niech przyydzie.

MAIOR.

J niech ci da poznać, iak się wielce nad gruntem iey charakteru zawodzisz; idę po nią. (*chce odeyść.*)

NIEZNAIOMY.

Jedno ieszcze; odday iey te kleynoty; są iey. . . . .

MAIOR.

Sam to sprawić możesz. (*odchodzi.*)

SCENA IX.

NIEZNAIOMY SAM.

Teraz Zacniewski, ostatni iuż moment życia twoiego zbliża się; ieszcze ią raz zobaczysz tę, do ktorey cała twoia dusza przylgnęła. O czemuż na przeciwko niey wybiec, do tego tak mocno biiącego serca przycisnąć iey nie mogę, i nie powinienem; ach! wstydź się raczey nieszczęsny, także się to ma tłumaczyć obrażony małżonek; ale co mowię? Czuię że uroiona w muzgu mara, ktorą honorem nazywamy, w głowie się tylko nie w sercu naszym znayduie; ze stałością zatym, iuż raz ostateczny mowić z nią będę, zimno, ale nie ostro; strzeż się, żeby przymowka, lub zarzut iaki, z ust się twych nie wyśliznął. Tak iest, żal iey iest rzetelny, niech go, sobie iak chce tłomaczy moy muzg podeyżliwy. Los iey przynaymniey nadal musi bydź znośnieyszym; niepotrzeba iey będzie służyć dla kawałka powszedniego chleba;

żyć będzie nie podległą i ieszcze iey się tak wiele zostanie, że chęć dobroczynności zaspokoiać będzie mogła (*spoziera w koło siebie i z naywiększym pomieszaniem.*) ha! nadchodzi! zdeptana pycho, ockniey się, obrażony honorze, broń mnie.

SCENA X. *i ostatnia.*

NIEZNAIOMY, ELEONORA, JENERAŁOWA, MAIOR.

ELEONORA. (*ktora powoli, i drząca zbliża się do Jenerałowey ktora ią chce wspierać.*)

Zostaw mnie Pani łaskawa; niegdyś mi na siłach do zgrzeszenia niezbywało, Nieba udzielą mi dzisiay dosyć mocy do pokuty i żalu (*przybliża się do Nieznaiomego, ktory z odwroconą twarzą i w wielkim poruszeniu przemowy iey oczekuie.*) Mospanie pułkowniku?

Niez naiomy. (*drzącym lecz wdzięcznym głosem, a zawsze prawie z odwroconą twarzą.*)

Czego ty chcesz o demnie Eleonoro?

Eleonora. (*bardzo poruszona*)

Ach nie! przebog na to przygotowaną nie byłam. Niestety! ton ten serce moie wskroś kraie; owo ty, owo ufności pełne ty..., ach nie! nie wspaniałomyślny mężu twardego, groźnego tonu, dla ucha występney potrzeba.

Nieznaiomy. (*stara się głosowi dać więcey mocy.*)

J coż tedy Mościa Pani.

Eleonora.

Ach gdybyś WPan sercu memu chciał ulgę uczynić, gdybyś się tak daleko raczył poniżyć, i chciał mi czynić zarzuty.

Nieznaiomy.

Zarzuty? Tu stoią wyryte na mey bladey twarzy, tu w moim zapadłym oku, tych zarzutow nie mogłem WPani

oszczędzić, ale usta moie, maią wzgląd na iey niedolę.

E L E O N O R A.

Gdybym zakamieniałą była w mey zbrodni, milczenie to, dobrodzieystwem dla mnie byłoby; ale iestem załuiącą płaczącą nad występkiem, a wspaniałe to milczenie, ieszcze mnie bardziey w oczach moich poniżá. Niestety! więc sama ogłosicielką hańby moiey bydź muszę; gdzieżbym bowiem spokoyność znalazła, gdyby to wyznanie z serca moiego nie wyszło.

N I E Z N A I O M Y.

Żadnego wyznania, Mościa Pani; wiem o wszystkiem, i uwalniam ią od wszelkiego upokorzania się. WPani sama iednak uznasz, iż potym wszystkim, co się zdarzyło, my na wieki rozdzielić się musiemy.

E L E O N O R A.

Przekonana o tym iestem, i nie przyszłam też tutay przebaczenia u

WPana wyszlochać, naymnieyszey nie maiąc nadziei otrzymania onego. Są takie występki, ktore podwoynie plamią, kiedy się tylko pomyśli, że ie można całkowicie zagładzić; wszystko czego się spodziewać odważam, iest usłyszeć z ust WPana to zapewnienie, że pamięci moiey nie zechcesz przeklinać.

Nieznaiomy. (*zmiękczony.*)

Nie, Eleonoro, nie będę cię przeklinał. Miłość twoia w czasach pomyślnieyszych, tak rozliczne i lube roskosze sprawiała dla mnie; nie, nie będę cię przeklinał.

Eleonora. (*z wielkim wzruszeniem.*)

Z wewnętrznym uczuciem że nazwiska WPana godną iuż nie iestem, od trzech lat inne i nieznaiome nosiłam; ale na tym ieszcze nie dosyć; list rozwodowy mieć musisz, ktoryby go postawił w stanie obrania sobie godnieyszey małżonki, na ktorey łono niech

Bog

Bog naywyższe zleie błogosławieństwo. Do tego papier ten będzie potrzebny WPanu, zawiera w sobie wyznanie na pismie występkow moich. (*podaie mu go drząca.*)

NIEZNAIOMY. (*bierze i zdziera go*)

Niech będą na wieki zgładzone; tak iest Eleonoro, tyś tylko sama w mym sercu panowała, nie wstydzę się podobne uczynić wyznanie i ty tylko sama wiecznie w nim panować będziesz. Przywiązanie twoie do cnoty i honoru przeszkadza ci korzystać z tey moiey słabości; a chociaż i tę słabość dla niesplamienia nazwiska moiego zwycięże, nigdy iednak, nigdy inna małżonka Eleonory mieysca nie będzie mogła zastąpić.

ELEONORA. (*drząca.*)

Więc, nic, nic iuż wiecey nie pozostaie iak pożegnać się z WPanem.

NIEZNAIOMY.

Czekay, ieszcze iedną chwilę. Przez

kilka miesięcy ciągiem nie wiedząc o-tym, bardzo blisko siebie żyliśmy; wiele dobrego o WPani słyszałem, serce iey stworzone iest tkliwym na niedostatek bliźniego. Cieszy mnie to; nigdy więc WPani na sposobach zbywać nie powinno, ten piękny przymiot, ten w lany od natury instynkt świątobliwie dopełniać. J. Wielmożna Pani sama niedostatku nigdy cierpieć nie będziesz; papier ten zapewnia iey pensyą roczną dziesięciu tyście̜cy złotych.

ELEONORA.

Daruy mi WPan. Praca rąk moich powinna mnie żywić; kawałek chleba łzami żalu skropiony, więcey mi spokoyności udzieli, niżeli przykra wiadomość, iż się panoszę maiątkiem człowieka, ktoregom raz w życiu tak obelżywie zdradziła.

NIEZNAIOMY.

Weź WPani, weź.

ELEONORA.

Zasłużyłam na tę pogardę, na to po-

niżenie; ale uciekam się do sposobu myślenia WPana; ochraniay mnie, pofolguy mi WPan.

NIEZNAIOMY. (*na stronie.*)

O! Boże iaką mi zdrayca wydarł małżonkę (*chowa znowu papier*) dobrze, szanuię iey powody i odstępuię żądania mego, iednak pod tym warunkiem, że ieźliby iey kiedy na czym brakować miało, ia byłbym naypierwszy, i szczególnie ten, do ktoregobyś się rzetelnie i iawnie udała.

ELEONORA.

Przyrzekam to WPanu.

NIEZNAIOMY.

A teraz wolno mi będzie przynaymniey żądać żebyś sobie WPani własność swoią odebrała. Te kleynoty —(*oddaie iey puzderko*)

ELEONORA. (*otwiera ie i łzami skrapia*)

Ach! ow słodyczy pełen obraz,ow pię-

kny wieczor, ktoregoś mi WPan te kleynoty darował, dusza moia widzieć zdaie się przed sobą. Wieczora tego stary moy oyciec ręce nasze połączał, ia radosna wykonałam przysięgę wieczney stałości i wiary. Złamaną iest; wtedy czyste i niewinne posiadałam serce; niestety! uczucia teraz mnie przeymuiące, żadną i naydotkliwszą zgryzotą okupione bydź nie mogą. Pierścień ten darowałeś mi WPan przed laty pięciu w dzień urodzin moich. Był to dzień szczęśliwy małą i wieyską uroczystość kazałeś WPan odprawiać na ow czas; o iakżeśmy wszyscy weseli i radośni byli! Tę egretkę otrzymałam, kiedy Olesia mego, na świat wydałam. O iak mnie cieżko uciska wspomnienie uciech straconych, ktorych sama byłam zaboycą! Nie, itych kleynotow zatrzymać nie mogę, chybaby zamiarem WPana było przez widok ich, nieskończone mi przygotować zarzuty; odbierz ie WPan nazad (*oddaie mu kleynoty wyiąwszy tylko egretkę.*)

NIEZNAIOMY. (*w rownym pomieszaniu umysłu iak Eleonora ktore iednak ukryć stara się, bierze kleynoty z odwroconą twarzą i chowa ie.*)

ELEONORA.

Ta szpilka, niech mi iedynie zostanie; pamiątka urodzenia Olesia mego.

NIEZNAIOMY. (*na stronie*)

Nie, iuż dłużey nie mogę wytrzymać. (*obraca się ku niey, ton głosu iego nie iest groźny, ni też pobłażaiący, nie iest twardy, ni słodki, ale między oboygiem utrzymuie się*) Byway WPani zdrowa.

ELEONORA.

O iedną tylko ieszcze minutę proszę; na iedno szczegòlnie pytanie ieszcze odpowiedź; zaspokoy serce macierzyńskie. Żyią ieszcze moie dzieci?

NIEZNAIOMY.

Żyią.

ELEONORA.

J w dobrym zdrowiu?

NIEZNAIOMY.

W dobrym.

ELEONORA.

Dzięki Bogu! Oleś moy zapewne znacznie iuż podrosł?

NIEZNAIOMY.

Tak sądzę?

ELEONORA.

A Wiktosia, czy zawsze iest WPana kochaniem?

NIEZNAIOMY. (*ktorego cała ta rozmowa widocznie głęboko dotyka, milczy wśrzod walki, między honorem i miłością.*)

ELEONORA.

O! wspaniały mężu! zaklinam WPana, pozwol mi raz ieszcze oglądać dzieci moie; nim się rozdzielemy, bym ie do serca przycisnęła, bym im pobłogosławiła, bym w nich podobieństwo oyca ich ucałowała.

Nieznaiomy. (*milczy.*)

Eleonora. (*pauzę wstrzymawszy się*)

Ach! gdybyś WPán wiedział, iak w tych trzech straszliwych rokach serce moie biło na samo ich wspomnienie, iak rzewne z oczow mych łzy wytryskały, skoro chłopca lub dziewczę, iednegoż z niemi wieku dostrzegłam; iak czasami siedząc w przymroku, w cichym ustroniu moim, czarodzieyskiemi bawidłami żywey fantazyi łudzona, to Olesia, to Wiktosię na moim kołysałam łonie. O! pozwol mi WPan ieszcze raz ie zobaczyć, iedne tylko macierzyńskie uściśnienie im oddać, a w tedy iuż na wieki rozłączemy się z sobą.

Nieznaiomy.

Chętnie Eleonoro; tego ieszcze wieczora oczekuię dzieci moich; w pobliskim znaydowały się miasteczku; wysłałem po nie, iednego z przywiązanych moich, w krotce będzie z powrotem;

daię WPani słowo, że skoro nadiadą pośle ie do pałacu; tam niechay ieżeli się tak WPani podoba, aż do iutrzeyszego poranku zabawią; potym biorę ie znowu z sobą. (*pauza.*)

Jenerałowa i Maior.
(*ktorzy krokow kilka oddaleni z wewnętrznym uczuciem, całey rozmowie przysłuchiwali się, ukradkiem znak sobie daią. Maior idzie do chałupy, i powraca z Dozorcą i dzieçmi, oddaie chłopca siostrze swoiey, ktora za Eleonorą staie, sam zaś z dziwczęciem za Zacniewskim stawa.*)

Eleonora.

J tak w tym życiu, iużbyśmy sobie nic więcey powiedzieć nie mieli (*zebrawszy wszystkie siły i odwagę.*) Byway WPan zdrow szanowny mężu; (*chwyta rękę iego*) zapomniey WPan o nieszczęśliwey, ktora WPana nigdy niezapomni. (*klęka*) Pozwol raz ieszcze tę rękę do ust moich przycisnąć, ktora niegdyś moią była.

Nieznaiomy. (*podnosząc ią*)

Bez uniżoności Eleonoro (*trzęsie iey rękę*

rękę.) Byway WPani zdrowa na zawsze.

ELEONORA.

Na wieki?

NIEZNAIOMY.

Na wieki.

ELEONORA.

Opuszczamy się więc! ale bez gniewu, bez zeciętości.

NIEZNAIOMY.

Bez gniewu, bez zaciętości (*pauza*)

FLEONORA.

A kiedy z czasem dosyć iuż wycierpię, kiedy się na innym lepszym świecie znowu obaczemy?

NIEZNAIOMY.

Tam nie panuią przesądy, tam znowu moią bedziesz. (*ręce oboyga leżą iedna w drugiey, spoyrzenia ich pełne czu-*

łości spotykaią się, powtarzaią drżącym ięzykiem ieszcze.) Byway zdrow, byway zdrowa. *(odrywaią się od siebie, ale w tym gdy chcą odeyść, Eleonora na Olesia Nieznaiomy na Wiktosie uderza:)*

O l e ś.

Matko moia.

W i k t o s i a.

Oycze moy.

(Oyciec i Matka milcząc, przyciskaią dzieci do serca.)

W i k t o s i a.

Kochany Oycze.

O l e ś.

Kochana Matko.

(Oyciec i matka oddzieraią się od dzieci, spozieraią na siebie wyciągaią ku sobie ręce, i ramie w ramie w padaią sobie.)

N i e z n a i o m y.

Mocnieysze są uczucia natury nad

przepisy honoru. Eleonoro! przebaczam ci.

Jenerałowa. i Maior.
(podnoszą dzieci do gory, ktore się do rodzicow przyczepiaią.)

Zasłona upada.

KONIEC.

is comprimuntur, nullus
b..tur triumphus; meritò to-
endescens currus aptatur?
agis vmquam debitus trium-
c laus, & prædicatio, quàm
i ætati domatrici volupta-
ommendaturus Iosephi me-
ob pater, ait, Genes. 49. *Fi-*
crescens Ioseph, filius accrescēs,
r aspectu: filiæ discurrerunt
murum, sed exasperauerunt
&c. Et crescentia eius merita
,& nil priùs meminit, quàm
ulchritudinem, & apud fœ-
gratiam. Quantum hoc ad
i meritum? Quantum hoc in
simi viri commendationem
òd pulcher sit aspectu? quòd
is placuerit? Hoc in laudem
assumat Homerus: at in lau-
nctissimi, commendatissimi-
sephi, cur in primis assumi
? Sanè Iosephi pulchritudo
æcipua materies, & causa
inum eius, imò clarissima
m victoria inde venit, quòd
s, & pulcher, à lasciuientis
ardoribus inter ipsas lasciuiæ
inuictus maneret. Ideóque
è ad eius crescentia me-
ius inuicta pulchritudo cele-
debuit. Ab hoc placito stat
tus, lib. 9. in Genesim, c. 36.
liæ vagæ, ac petulantes discur-
super murum, iniecissent oculos
dixissentque, Dormi mecum,
ideò memoriæ traditum esset,
spectu fuisse decorum. Nunc
quia decor aspectus eius, causa
nis, & vinculorum; magnæque
ctoriæ occasio, dignè prædicatur
isse decorus aspectu. Nil priùs

ta extulerunt, vt illum extulit pulchritudo victrix lasciuiētium flammarum, ex qua dignissimè debuit prædicari. Maximè equidem inter hominis commendationes, merita adauget laus castitatis. Ipsius Iosephi fratres vnà cum iuniori Beniamino venientes, excepti sunt ab ipso Ægypti Prorege, & ad conuiuium magna cum lætitia vocati. Genesis 43. mensis assident vnanimiter omnes, *& mirabantur nimis, sumptis partibus, quas ab eo acceperant, maiórque pars venit Beniamin, ita vt quinque partibus excederet.* Iunior frater erat Beniamin, & iuniori iubetur dari in conuiuio pars quintupliciter maior. Cur tantus excessus in parte Beniamini? Quid iuueniles eius anni præseferebant, quòd adeò multiplicatas merebatur accipere Proregis gratias? In Beniamino merita Pauli notabantur condecorati, & certaminibus pro castitate tutanda, & victoriis in illa virtute reportatis, quibus se multipliciter super alios cœlestis vineæ operarios exaltauit. Notabat Diu. Ambros. lib. de Ioseph, cap. 10. *Ideo in conuiuio pars Pauli quintupliciter maior effecta est, quòd haberet superioribus anteferri, non solùm mentis prudentia, sed etiam militia corporis, & gratia castitatis.* Qui iuuenis castitati militauit, & ardentes repulit libidinum flammas, quem non excedat in triumphis? Quales glorias sibi nō acquirat super omnes multiplicatas? Ad hæc loquitur etiam Diu. Paulin. epistol. 4. aliàs datus: *Redditurus est Dominus Paulo, & eius beatæ virginitati de innumeris*

Gen. 43

Ambr.

Paulin.